



ROK LVIII

NR 33

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 15 SIERPNIĄ 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Szósty polski kongres przeciwalkoholowy—*Jan Szymański*. Protestujmy—*Zofja Zawisza*. Marjanna Jarmołowicz, majstrowa wileńskiego cechu tkaczy—*E Gulbinowa*. Świat kobiecy (część II) c. d. — *Marja Grossek-Korycka*. Nad zatoką — *Marja Kuncewiczowa*. Idylla na Arktyku (dok.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d. — *Wanda Młaszewska*. Piękna Pamela— (c. d.)—*K. Bielańska*. Obóz żeński przysposobienia wojskowego w Zaleszczykach—*I. Fabrycowa*. Zagadnienia psychiki u zwierząt—*Janina Maszewska Knappe*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek—*F. B.* Strzałki—*Zofja Łosiowa*. Dział praktyczny: Mody i roboty. Suknia, przybrana aplikacją Kapelusze...—*W* Parę słów o klimach—*Marja Zawadzka*. O pieięgnowaniu chorych—*I. S.* Mszyce na różach — *Stan. Schönfeld* Choroby drobiu (c. d.) — *W. B.* Przewożenie konfitur — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians“ (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). ARKUSZ WZORÓW.

## SZÓSTY POLSKI KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY



dnia 25-27 września b. r. odbędzie się w Katowicach VI Polski Kongres Przeciwalkoholowy. Komitet organizacyjny, pozostający pod protektoratem ks. biskupa Hlonda i wojewody Śląskiego, Bolskiego, wydał odezwę, w której czytamy: „Rodacy, wzywamy

was na ważne narady... aby naród nasz wyzwolić z pęt alkoholizmu. Wszystkie kulturalne narody uznają dziś zgodnie, że walka z tą plagą jest konieczna, by uchronić rodziny i narody całe od zwyrodnienia, by zapewnić postęp kultury, a sprostać wymaganiom coraz trudniejszej walki konkurencyjnej w przemyśle i handlu. Inne narody wyprzedziły nas znacznie w tych szlachetnych dążeniach... Po wojnie alkoholizm nasz poczynił poważne spustoszenia, naprawa stosunków moralnych i zdrowotnych dokona się tem szybciej, im energiczniejszą podejmiemy z tą nieszczęsną chorobą społeczną walkę. A zatem z podwójną gorliwością i energją zabierzmy się do pracy, i to wszyscy, bez względu na poglądy polityczne, społeczne lub wyznaniowe“...

Program Kongresu, połączonego ze specjalną wystawą przeciwalkoholową, zawiera następujące ważniejsze punkty:

Wykład wstępny p. t. „Alkoholizm a młodzież“ ma wygłosić prof. dr. *Tadeusz Strumiłło*. Następnie mają się odbyć:

Zebranie lekarzy i prawników z odczytami na temat: 1) „Alkohol a zwyrodnienie rasy“, 2) „Alkohol a odpowiedzialność prawna“, 3) „Ratowanie alkoholików“.

Zebranie nauczycieli—referaty: 1) „Ważne zadanie szkoły polskiej“, 2) „Udział nauczycieli w ruchu przeciwalkoholowym“.

Walne Zebranie Polskiego Związku Księży Abstynentów — referat: „Posłannictwo kapłańskie a nowoczesny alkoholizm“.

Zebranie filareckiego Związku Elsów—referaty: 1) „Zagadnienie alkoholizmu w świetle ideału filareckiego“, 2) „Ideal filarecki a nasza służba społeczna“.

Z innych referatów sekcyjnych zasługują na uwagę następujące:

„Jak szerzyć ideę abstynencką w wojsku i policji?“, „Jak zużytkować alkohol w przemyśle?“, „Monopol spirytusowy a ustawa przeciwalkoholowa“, „Bezpieczeństwo ruchu a alkoholizm.“

Na zebraniach plenarnych mają być wygłoszone następujące referaty: prof. dr. *Pawła Gantkow-*



skiego p.t. „Zadania społeczeństwa w walce z alkoholizmem“, ks. Kazimierza Niesiołowskiego: „Czem zastąpić napoje alkoholowe?“, Jana Szymańskiego: „Zadania państwa w walce z alkoholizmem“.

Podczas Zjazdu projektowane są specjalne zebrania kolejarzy i szoferów, studentów, Polskiej Ligi Przeciwalkoholowej i inne.

Mają się dalej odbyć wiece specjalnie męskie, kobiece i młodzieży w sprawie walki z alkoholizmem, codziennie grany będzie w teatrze dramat Z. Parwiego p. t. „Knajpa“, codziennie będzie wyświetlany film przeciwalkoholowy.

Jak widać z powyższego programu, jest on bardzo obszerny, a gdy dodamy, że Kongres poprzedzony zostanie kazaniem na tematy przeciwalkoholowe we wszystkich kościołach Śląska, a w samych Katowicach ma się odbyć wielki pochód manifestacyjny—zrozumiemy, że Komitet organizacyjny pragnie wyzyskać ten Kongres w całej pełni dla swych szlachetnych zamiarów przez możliwie wszystkie sposoby [oddziaływania. Zamiar to tem godniejszy poparcia, że, niestety, alkoholizm czyni w prastarej dzielnicy Śląskiej zastraszające postępy. Ale nietylko na Śląsku, dzieje się tak samo z rozmaitymi wahaniami i odchyleniami w całej Polsce.

Oto, na przykład, w Wilnie, według badania dr. Stefana Brokowskiego, naczelnego lekarza szkół powszechnych wileńskich\*), alkoholizm wśród dziatwy szkolnej szkół powszechnych przedstawił się w końcu 1924 r. w liczbach w sposób następujący: Liczba zbadanych dzieci 9949. Z tej liczby zna smak alkoholu—86,2%, zna stan upojenia alkoholem—23,5%, pije codziennie — 2,4%, pije raz na tydzień — 9,2% pije od czasu do czasu—52,1% „zakupują wódkę sami“ — 2,2%.

Jak wynika z tej statystyki, na blisko 10 tysięcy dzieci—tylko 1371 nie zna zupełnie smaku alkoholu, co stanowi 13,7% ogólnej liczby dzieci zbadanych.

Jak widać z odpowiedzi dzieci, dostają one alkohol przeważnie, bo w blisko 89% wypadków, od rodziców. Najczęściej używanym przez dzieci wileńskie napojem alkoholowym jest wódka.

Szczegółowe badanie zebranego materiału liczbowego nasunęło dr. Brokowskiemu m. in. następujące wnioski: na ogólną liczbę zbadanych 9949 dzieci szkolnych w Wilnie stwierdza się 11,6% zdeklarowanych alkoholików; chłopcy alkoholizują się w większym stopniu, niż dziewczęta, lecz nałóg ten szerzy się i wśród dziewcząt; najwyższy procent pijących chronicznie przypada na najmłodszy wiek szkolny od 7 do 12 lat.

Może się komuś wydać, że, mówiąc o mającym się odbyć Kongresie Przeciwalkoholowym w Katowicach, zanadto odbiegam od tematu, poświęcając nieco więcej uwagi cennej pracy dr. Brokowskiego. Ale tak nie jest. Stwierdzenie faktu alkoholizacji dzieci szkolnych w Polsce (przez dr. Szmurłę i ks. So-

poćkę w Warszawie, przez dr. B. Miklaszewskiego w Łodzi) udawadnia, że źle się u nas dzieje, skoro dzieci tak piją!

„Szerzący się alkoholizm wśród dziatwy szkół powszechnych, mówi dr. Brokowski, jest zjawiskiem bardzo groźnym dla wszystkich dziedzin bytu narodowego; rozpijanie dzieci, jako zjawisko samo w sobie budzące trwogę o los wychowującego się pokolenia, jest tylko znamienym objawem choroby, oddawna niszczącej siły całego społeczeństwa, a obecnie, w dobie powojennej, wzmożonej do niebywałych i nie ustalonych jeszcze rozmiarów“.

A stąd nasuwa się z żelazną konsekwencją wniosek: jeżeli chcemy istotnie odrodzenia narodu naszego i naszego Państwa, musimy wypowiedzieć wyteżoną i bezwzględną walkę kłęsce alkoholizmu.

Jedną z prób, prób poważnych w kierunku zorganizowania takiej walki, stanie się niewątpliwie Kongres Katowicki, o ile w nim wezmą udział liczne zastępy ludzi dobrej woli, przekonanych o niesłychanej szkodliwości alkoholizmu, zdecydowanych nietylko do walki z tą kłęską, ale i do poświęceń w tej walce — takich ludzi należy szukać przede wszystkim wśród kobiet!

Niejednokrotnie miałem już zaszczytną sposobność zwracać się do Szanownych Czytelniczek „Bluszczu“, wskazując na walkę z alkoholizmem, jako na jedno z głównych zadań ruchu kobiecego.

Dlatego też tem usilniej zwracam teraz tu uwagę na doniosłość Kongresu Katowickiego.

Wszystkie organizacje kobiece: społeczne, oświatowe, polityczne winny wysłać swe delegatki na ten Kongres; głos kobiet winien tam się rozleć silny i doniosły, gdy zabrzmi on tam w obronie lepszej doli dzieci, w obronie rodziny, w obronie Państwa, gdy wzywać będzie ogół narodu do walki z alkoholizmem.

Jeżeli uprzytomnimy sobie, że w obecnej chwili mamy w Polsce 26.800 szkół powszechnych i 27.444 koncesji alkoholowych, to każdy nieuprzedzony człowiek zgodzić się musi, że jest nad czem się zastanowić na takim Kongresie, że udział w nim będzie celowy w najwyższym stopniu.

Dyrekcja Państwowego Monopolu spirytusowego sprzedała w roku bieżącym za pośrednictwem trzech tylko rozlewni (Warszawa, Kowel, Sieradz) następującą ilość litrów spirytusu: w styczniu 1.656 butelek, w lutym 57.484 butelek, w marcu 194.863 butelek, w kwietniu 312.569 butelek, i w maju 230.808 butelek.

Razem więc w pierwszych 5 miesiącach 1925 r. same rozlewnie rządowe sprzedały 797.380 butelek spirytusu. Hurtowo zaś sprzedano w tym samym czasie 1.664 267 hektolitrów rektyfikatu i 16.723 hektolitrów denaturatu.

Czyż wobec tak szalonej aktywności bilansu alkoholowego nie może nasuwać się myśl, że jest to jedna z przyczyn pasywności naszego bilansu handlowego, że nasz budżet znajduje się na drodze osławionego ongi „pijanego“ budżetu rosyjskiego?...

\*) „Alkoholizm wśród dziatwy szkół powszechnych w Wilnie“ w zeszycie II tomu I Archiwum Higieny (Wilno 1925 r.)



W pracy: „Alkoholizm a choroby psychiczne we Włoszech“ \*) prof. D. Paolo Amaldi z Florencji mówi: „Chłop włoski jest dziś wzbogacony, oddaje się ekscesom alkoholowym i upija się winem... opierając się na faktach, możemy zapewnić, że doświadczenie, zebrane w praktyce naszych (włoskich) zakładów psychiatrycznych, wykazuje, że pacjenci z psychozą alkoholową w przeważającej większości wypadków pili nieumiarkowanie i nieustannie wino... Bardzo znamienym jest fakt, że liczba psychoz alkoholowych wzrosła się w zakładach włoskich pod koniec pięciolecia 1886—1890, w którym to okresie zainscenizowana została we Włoszech nadmierna hiperprodukcja wina, i ilość spożytego wina, obliczona dotąd na niespełna 70 litrów na rok i osobę, wzrosła nagle do 98,5 litrów“. Jeżeli nadmierne spożycie wina we Włoszech, staje się w skutkach swych tak groźnym, to cóż mówić o nas, gdzie daje się stwierdzić „hiperprodukcja“ wódki?...

Prof. Amaldi kończy swą pracę następującymi wnioskami:

\*) „Nowiny Psychiatryczne“ Dziekanka, 1925 (kwartał II).

„Według mego zdania, orientacja nasza powinna pójść w dwojakim kierunku: w sensie bezwzględnej akcji prohibicyjnej przeciw trunkom, ażeby jaknajprędzej uwolnić naród nasz przedewszystkiem od likierów, w sensie intensywnej akcji, ograniczającej konsumowanie piwa, a głównie wina. Przez wzgląd na znaczne interesy rolnictwa, handlu i dobrobytu narodowego powstaje konieczność stopniowego zaprowadzania reform w uprawie wina. Okazuje się zatem potrzeba energicznego i odważnego działania jednostki i Państwa, osób prywatnych i instytucji publicznych, jeżeli pragniemy, ażeby nasza Italja, geograficznie wielka przez bohaterskie czyny naszych sławnych wojsk, stała się jeszcze większą przez wzniesienie się narodu na wysoki poziom biologiczny, intelektualny i, co najważniejsza, moralny!“

Zamieńmy wyraz „Italja“ na „Polska“, a słowa psychiatry włoskiego mogli będziemy całkowicie zastosować do siebie i powinniśmy uczynić to tem więcej stanowczo i śmiało, że nas zatruwa trucizna bez porównania straszniejsza od wina — wódka.

Jan Szymański.

## PROTESTUJMY

W roku 1924 w Krakowie nauczyciel szkoły powszechnej, nazwiskiem Iseppi, zgwałcił 12-letnią uczennicę i utrzymywał z nią stosunek przez 2 lata zapewne wymuszając groźbami tajemnicę. Zdołał przytem zdemoralizować dziewczynkę do tego stopnia, że czuła się dumną z takiego „wyróżnienia“.

Sąd skazał tego człowieka na 6 miesięcy więzienia.

Zachęcony zapewne takim wyrokiem — właściciel jednego ze sklepów krakowskich, pozatem podobno inżynier z zawodu, w kilka miesięcy później poszedł w ślady tamtego. Spostrzegłszy przed wystawą swego sklepu dwie małe dziewczuszki, zwałił jedną z nich do wnętrza i dopuścił się gwałtu. Dziecko pokazało później rodzicom najdokładniej ten sklep i poznało bez wahania owego pana — ale cóż z tego?... Posiedzi zapewne także kilka miesięcy i znów powróci między normalnych ludzi, by szerzyć dalsze spustoszenia.

Świeżo czytam w „Bluszczu“ o wykrytym niedawno we Lwowie klubie gwałcicieli małych dziewczynek. Skazano ich na parę lat więzienia.

„Dziewczyne albo kobietę ktoby zhańbił, gardłem będzie ukaran“.

Taki był paragraf prawa karnego w dawnej Rzeczypospolitej, i dochowały się świadectwa, że był wykonywany...

To zestawienie mówi samo za siebie.

Zdarzały się zawsze i we wszystkich społeczeństwach wypadki gwałtów bądź na tle niepohamowanej, choć naturalnej namiętności, bądź chorobliwych zbrodni. Idzie tylko o to, jak społeczeństwo na to reaguje, jak się broni.

Każdy gwałt uważam za gorszy moralnie od morderstwa i surowość przodków naszych względem tego występku nie wydaje mi się wcale przesadzoną. Szczególnem jednak oburzeniem przejmować on musi tam, gdzie ofiarą pada mała dziewczynka.

Już to samo jest dość przerażające, że w opustoszałym parku czy o zmierzchu na podmiejskiej ulicy, a nawet w biały dzień przed wystawą sklepową, lub w szkole! — mogą się stać nasze córki łupem jakiegoś zwyrodniałego indywiduum. Lecz większą jeździe groźę budzi fakt oczywisty, że ów potwór będzie sobie po kilku miesiącach

czy latach kary spokojnie dalej chodził po świecie.

To właśnie jest hańbą cywilizacji, niemożliwą do tolerowania nadal.

„Dziewczyne albo kobietę ktoby zhańbił, gardłem będzie ukaran“.

A w paręset lat później — gwałciciel nieletniej po pół roku wychodzi z więzienia...

Więc do tego doszliśmy przez ten czas? I to ma być postęp? Już nietylko cześć kobieca przestała nam być drogą i ważną społecznie, ale nawet dusza dziecka?!

Bo spróbujmy sobie tylko wyobrazić, co się dzieje z duszą takiego zgwałconego dziewczątka: przecież to musi być ruina, zupełne zniszczenie wszystkich wartości, stworzonych przez wychowanie, ponury chaos, w którym zapanują albo najgorsze instynkty, albo zupełne zwątpienie w jakiś ład etyczny.

Jakąż kompensatę daje prawo dziecku, tak ohydnie skrzywdzonemu? jakąż gwarancję innym dzieciom, bezbronnyim istotom, w których złożona jest tajemnica narodowej przyszłości, że ich to samo nie spotka?

Miesiące czy kilka lat więzienia, to doprawdy wprost śmieszne. I trudno rzeczywiście zrozumieć cel takiej kary.



Gwałciela nieletnich można uważać za jednostkę albo wyjątkowo zbrodniczą, albo chorą. Jeżeli jest zbrodniczą, to zasługuje tylko na śmierć i na nic innego; jeżeli jest chorą, to trzeba ją dożywić i o nieuszkodliwić. O ile zaś takie anormalności są wogóle uleczone, to o uleczeniu w danym wypadku powinno decydować (pod poważną odpowiedzialnością) grono najlepszych i najuczciwszych lekarzy. Gdyby wszakże społeczeństwo nie mogło czy nie umiało dać takiemu choremu odpowiedniego utrzymania, pomieszczenia i straży, to — nie waham się tego twierdzić — stokroć lepiej skazać go na śmierć, choć w braku faktycznej winy, niż skazywać na zwichnięcie życia nieprzewidzianą liczbę młodych istot przez pozostawienie go na wolności.

To chyba dość oczywiste.

Bo trzeba prawdzie spojrzeć prosto w oczy: wolność takiego p. Iseppi'ego i jemu podobnych to jest straszliwe niebezpieczeństwo dla naszych dzieci, to obelga, zadana naszym macierzyńskim uczuciom!

Więzienie (takie, jakim ono jest obecnie) nie leczy żadnych złych skłonności, przeciwnie, raczej je potęguje. Uważać półroczną czy kilkuletnią karę za środek na zboczenie seksualne byłoby grubą naiwnością, o którą trudno posądzić

naszych prawników. Kara taka nie wzbudza także grozy, którą mogła trzymać na wodzy złe instynkty. Tak więc pewien procent naszych córek i to coraz znaczniejszy (bo bezkarność rozzuchwała) jest wprost przeznaczony na łup dla tych ludzi-zwierząt.

I my to akceptujemy! bo kto milczy, ten się zgadza. Ze zdumieniem stwierdzam, że nie wiem dotąd o żadnym wypadku, aby ojciec skrzywdzonego dziecka sam zastrzelił zbrodniarza, skoro prawo zdaje się ignorować ogrom występku...

Dlaczego do tej pory pozwalamy sobie narzucać to prawo obce, którego nas nauczyli zaborcy, o tyle niższe od naszego dawnego?



Dlaczego nie wywieramy presji na Sejm, aby powrócił do zdrowego pojęcia szacunku dla czci kobiecej i zdobył się na ochronę niewinności dziecka?!

My, kobiety, powinnyśmy wszcząć zbiorową, potężną akcję w tym duchu — w imię bezpieczeństwa naszych dzieci, w imię kultury i wyższych wartości duchowych.

Niechże posłanki nasze zainteresują się tą sprawą, niech zgłoszą w Sejmie zbiorowy protest przeciw bezkarności takich zbrodni! Lecz nie dość na tem: niech się odwołają do ogółu społeczeństwa, a przede wszystkim do kobiet polskich! Niech nasze towarzystwa kobiece zorganizują wielkie wiece, niech rozwiną żywą propagandę w prasie, niech zbierają masowo podpisy pod odpowiednimi memorjałami!

Nie pozwólmy na tak jaskrawe cofnięcie się prawodawstwa polskiego, nie pozwólmy zasłaniać wielkiej krzywdy społecznej frazesami o wyrozumiałości dla zbrodni patologicznych! Jeśli społeczeństwo może sobie na to pozwolić, to niech buduje dla gwałciela nieletnich takie domy, jak dla obłąkanych, z kratami w oknach i mocnymi zamkami u drzwi, a jeśli nie, to musi się znaleźć inny sposób na ich radykalne unieszkodliwienie!

Bo nie na to chowamy nasze córki, aby były ich łupem!

Protestujmy!

Zofja Zawisza

## Marjanna Jarmołowiczowa, majstrowa wileńskiego cechu tkaczy

Jakoś około r. 1770 wielkie zamieszanie wśród mistrzów tkackich i w całym organizmie cechu płócienników wileńskich uczyniło wystąpienie p. Marjanny Jarmołowiczowej, majstrowej kunsztu tkackiego.

Założony w 1579 r. za Stefana Batoro, zaliczany do najstarszych na gruncie W. Ks. L., senjor niejako cechów wileńskich, których się namnożyło potem w XVII i XVIII stuleciu bez miary, cech tkaczy wil. związany był nader silnie z krajem i miastem. Rozwijał się w okresach ich rozwoju, podupadał z chwilą klęsk powszechnych lub ogólnego osłabienia sił życiowych społeczeństwa. Właśnie w połowie XVIII w. przyszedł na niego okres największego bezwładu. Czasy

światłości i sławy, gdy przemożnym wpływem sięgał do Kowna, Grodna, Dyneburga, Połocka i Mińska, broniąc każdemu, któryby do grona jego nie należał, uprawiania rzemiosła tkackiego, dawno minęły. Zubożały liczebnie i materialnie, pogrążył się w zupełnej stagnacji. Aż oto całkiem nieoczekiwanie przyjemny ten spokój zakłóciło wystąpienie Marjanny Jarmołowiczowej!

Wystąpienie to, a zwłaszcza zakończenie sprawy, jest tak charakterystyczne, iż chociaż dokumenty współczesne skąpe rzucają tu światło, ograniczając się do suchego stwierdzenia faktu, postać dzielnej majstrowej rysuje się wyraźnie w naszej wyobraźni.

Żona najzamożniejszego podówczas mistrza tkackiego, Piotra Jarmołowicza, który jako „starszy” kierował przez czas dłuższy sprawami cechu, była p. Marjanna, dobrze obeznana nie tylko z praktyczną stroną umiejętności tkackiej, ale i zagadnienia, dotyczące ogółu, nie były jej obce. Czy brała w nich czynny udział już wówczas, za życia męża? — trudno stwierdzić. Jako żona mistrza, dzieliła wszakże jego pracę zawodową, brała udział w uroczystościach, na których zbierali się członkowie cechu z rodzinami, w nabożeństwach solennych i w myśl statutu składała przewidzianą opłatę do skrzynki cechowej. Była więc faktycznie członkiem cechu, chociaż teoretycznie ustawy cechowe



kobiet do organizacji nie przyjmowały.

I wszystko szło spokojnym, utartym, równym trybem, dopóki żył powszechnym szacunkiem otoczony mąż jej, sławetny mistrz Piotr Jarmołowicz. Nawet po jego śmierci jeszcze czas pewien nikt kwestji nie podniósł, gdy p. Majstrowa, jako jedyna spadkobierczyni, przejęła wraz ze schedą po mężu jego prawa mistrzowskie. Postanowiła sama warsztat prowadzić: alboż to nie zna się na rzeczy, alboż to nie potrafi tknąć płócien wszelkiego rodzaju, ręczników, obrusów aż do najcieńszych włącznie!



Najbardziej niechętnym był Jerzy Wargiełło, „starszy” cechu, przeciwnik nieprzejednany wszelkich nowin, a już najbardziej niewieściej roboty. Cekał okazji. Jakoż nadarzyła się wkrótce. Cztery krośna, pozostałe po mężu, nie mogły już nadażyć robocie, a i ręk brakowało, a przedza zalegała kąty. Postanowiła przeto Jarmołowiczowa liczbę krosien zwiększyć, drugiego czeladnika i paru nowych chłopców na naukę przyjąć.

Na przeszkodzie stanął Jerzy Wargiełło, który, jako stróż ustaw cechowych, dowiódł jej, że podobne zamierzenie jest karygodnym bezprawiem, naruszeniem istniejącego porządku, bo zdawien dawna, jak cech cechem, żaden mistrz ponad 4 krośna w warsztacie swym nie miał, i że bezprawnie również ona sama rzemiosło tkackie uprawia, a w dodatku córki ośmiela się uczyć „zabawy tkackiej”.

Wiele mogła znieść cierpliwość Jarmołowiczowej, ale podobny zarzut wyczerpał ją wreszcie. Gdyby to tylko o owo zwiększenie liczby krosien chodziło, gdyby tak „po dobroci”, możeby ustąpiła, darowała swoją krzywdę. Ale zaprzeczono jej, jej, Marjannie, majstrowej tkaczowej tego, co uważała nie tylko za swój przywilej, ale i prawo. I to kto? Jerzy Wargiełło, jej, Jarmołowiczowej! Cóżto z sierotami

na żebry ma iść? Gorsza to od innych? Niedoczekanie ich, ot nie ustąpi, nie ustąpi!

Ale i strona przeciwna ustąpić nie chciała. Byli wprawdzie tacy, co wielkiej zdrożności w całym zajściu nie widzieli; ktoś tam o zasługach nieboszczyka wspomniał, ktoś nad sierotami się użalił, inny nawet dzielność majstrowej pochwalić się odważył. Skoro więc sprawa poszła utartym zwyczajem do rozpatrzenia starszych, zgody na nią nie osiągnięto.

Szła więc dalej pod orzecznictwo sławnego Magistratu m. Wilna, który wyrok ostateczny ferował i w księgach Burmistrzowsko-Radzieckich zapisał.

Lata minęły. Burze, srożące się nad Rzeczpospolitą, gromami spadały. Życie płynęło bujnym prądem, grzebiąc słabych, wynosząc silnych. W fali wypadków, które przeżywało Wilno, poszedł w niepamięć spór Jarmołowiczowej z Wargiełłą, w cień usunęła się postać zadziwej majstrowej, nie słyhać już więcej o niej. Tylko w starych księgach archiwum wileńskiego, od których wieje woń wilgoci i tchnienie dawno minionych czasów, na pożółkłych kartach wyblakłym inkaustem wypisany, odczytać można dzisiaj jeszcze: „dekret w sprawie ućściwej Jarmołowiczowej, Majstrowej Tkaczowej, pozostałej wdowcy z ućściwymi Tkaczami kontubernium Wileńskiego”.

Dekret ten głosi, iż „szlachetny urząd miejski” zezwala rzecznej Jarmołowiczowej na używanie rzemiosła, daje wolność edukowania w nim córek, a nadto posiadania 7-miu warsztatów, dwóch czeladników i dwóch uczniów. Zwycięstwo przeto wielkie i na całej linii.

Nie ustąpiła. Praw swych dochodzić umiała. Nie uległa się, czując słuszność za sobą, sierot skrzywdzić nie pozwoliła.

Wystąpienie Marjanny Jarmołowiczowej w życiu cechu tkackiego zwiastuje koniec stagnacji, a rozpoczęcie nowego okresu, który, acz krótki, bo do zagarnięcia Wilna przez Moskwę trwający, wznowił świetne tradycje cechowe i pełnią rozwoju zabłysnął. E. Gulbinowa

Skoro więc skończyły się uroczystości pogrzebne, skoro minął pierwszy żal po stracie małżonka, p. Majstrowa zabrała się energicznie do pracy. Toż podrasały trzy jej starsze córeczki, toż jeszcze drobiazg jaki taki u nóg się kręcił, toż czeladnik, przez nieboszczyka przyjęty, próżnował, oczekując roboty. Wszystkiemu wystarczyć musi sama, wszystkiemu zaradzić własną głową. Możeby tam jaka inna na jej miejscu uległa się, możeby rady i pomocy skądkolwiek szukać próbowała, możeby, jako że nie stara jeszcze a zamożna, przez nowe małżeństwo swój stan wdowi skróciła. Marjanna Jarmołowiczowa snać inną miała naturę. W pomoc mistrzów niebardzo wierzyła, a o nowem małżeństwie myśleć nie miała czasu.

Od wczesnego rana stukały już u niej krosna. Trochę tam z ukosa patrzano na tę niewieścią gospodarkę w warsztacie, trochę się pośmiechano, gdy sama ze starszemi córeczkami do krosien lub kołowrotków siadała. Nie zważała na to. Dano jej też wkrótce spokój, ale tylko do czasu.

Obstalunków nie brakło. Z tkalni Jarmołowiczowej wychodziły najcieńsze płótna, najbielsze ręczniki, najwzorzyste desenie. Chwalono powszechnie dokładność roboty, sumiennosc i szybkość wykonania. Zamówienia napływały, rosła sława i zamożność wdowy po Piotrze Jarmołowiczu, niechęć i zazdrość braci cechowych. Milczano jednak jeszcze.





MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## Ś W I A T K O B I E C Y

CZĘŚĆ II.

12

## ŚWIEKRA I SYNOWA

(Współczesne)

— Ach, zerwała się teraz Sielicka i ręką uderzyła się w czoło— medycyna połączy mię z moim synem! przecież ja mogę pracować przy nim, jako jego asystentka!...

O, droga moja, wyście mi z nieba spadli, jak gwiazda natchnienia boskiego!...

Trzy szklane bramy od podłogi do sufitu oświetlały gabinet dyrektorski wielkim dniem czerwcowym, ale odwieczne kasztany łagodziły go, zawieszając okna zieloną siatką, słońcem przetykaną. W pośrodku ogromne klubowe fotele dookoła ogromnego stołu, przy ścianach imponujące biblioteki. Wacław pisał... Zegary na korytarzach dalszych, bliższych, jeden za drugim wydzwaniały dwunastą. Weszła matka w białym ubraniu klinicznym ze znaczkiem uniwersyteckim na piersiach...

W tym gabinecie już od roku nic nie przeszkadza słodkiemu obcowaniu ze sobą istot najbliższych: Matka i Syn spędzają tutaj większą część życia, kilka razy dziennie opuszczają salę chorych i schodzą się tutaj dla wytchnienia przy poufnej pogadance i dla rozmów fachowych.

Jej zupełnie wyjątkowe przygotowanie wyznaczyło jej zupełnie sui generis zajęcie. Była napół doktorem, napół pielęgniarzem. Olbrzymia jej wszechstronna lektura, ogromne przez nią wygimnastykowanie umysłu, rozległość jego horyzontu stawały ją terre à terre z chorymi o najwyższej inteligencji, którzy tak często zdarzają się w klinice psychiatrycznej. Czyniło ją to przyjacielem i powiernikiem pacjenta, nad którym nabierała wskutek tego osobliwszej władzy. Nadzwyczajna zaś czułość jej nerwowego aparatu pozwalała jej docierać do takich zjawisk duchowych, jakich obserwacja zewnętrzna nawet nie sygnalizuje. Miewała też dzięki temu genialne rzuty myśli na możliwe metody leczenia, a nawet na samą istotę chorób.

Była pomocnicą swego syna, co oznaczało nieraz, mówiąc mową symbolu, że ona szła naprzód, przyświecając latarką, a on posu-

wał się za nią mozolnie z kilofem i młotkiem... Było to zastosowanie zdolności zupełnie nowe: był to talent na usługach nauki.

Siedm razy żółte liście spadły z drzew za oknem i siedm razy kwietniowe słońce otwierało na nich pąki z lepka, pachnącą żywicą. Siedm lat upłynęło cichych i monotonych, jak szczęście! Pani Michalina zaczęła podupadać na zdrowiu. Już ta wiosna nie przyniosła tego radosnego zmartwychwstania, jakie czerpią z odradzającej się natury istoty jeszcze pełne życia. Wiosna zastała ją w łóżku.

Podczas choroby kilka razy odwiedziła ją synowa. Ostra niechęć z latami łagodniała. Mąż pół życia przepędzał ze swoją matką, a przecież był dla niej zawsze niezmiennie kochającym i dobrym... snać matka nie usiłowała odebrać jej serca synowskiego. Tradycyjne uprzedzenie rozwiąło życie, które jest wieczną niespodzianką.

Rozmowa między dwiema temi kobietami prędko wyczerpywała zajmujący obie materiał o „dzieciach”, poczem zapadały w beznadziejne milczenie. Synowa wszakże ani myślała ruszać się z kanapki, nie pilno jej było odchodzić... Siedziała cicha i jakaś taka miękka... a oczy podnosiły się, jakby one chciały mówić: jakieś zwierzenie było w nich i badanie. Pani Michalina leżała teraz po całych dniach na szezlongu, co chwila zapadając w drzemkę... Ale pewnego poranka coś podrzuciło ją formalnie, jakby ukryta sprężyna, naciśnięta tajemniczym palcem. Nieopisany niepokój zatargał nią gwałtownie i pędził z domu. Gorączkowo kazała się ubierać i pojechała do rozżką.

„Przeczcucie!” rzekła sama do siebie, zatrzymawszy się w gabinecie syna u progu. Weszła nie głośno, ale i nie cicho, a potem starała się dać znać o sobie: stukaniem bucików i brząkaniem kluczy. Syn wciąż jej nie widział i nie słyszał... Rozpromieniony, odmłodzony pochylał się całym korpusem, obejmując ramieniem oparcie krzesła, na którym siedziała, lekko, jak motyl na kwiatku, młoda, piękna

kobieta, nawzajem kłoniąca się ku niemu... Zbliżyły ich jakieś preparaty mikroskopowe i tekst jakiegoś medycznego miesięcznika, po którym wodzili palcem...

Ach, pretekst oczywisty! Prześliczne ramie obnażone opierało się o pierś profesora, pukle krótko obciętych włosów muskały od czasu do czasu jego rękę, gdy głowa pochylała się naprzód gestem krótkowidzów, kolana się ich stykały... On był nieprzytomny, oczy mu zasłoniła mgła pijaństwa, kobieta zaś śmiała się w sobie cichym, wewnętrznym uśmiechem, który tylko promieniał przez oczy. Obraz był klasyczny! niepodobna było pomylić się co do jego znaczenia!

„Jeszcze dwa tygodnie, a już tych dwojga nie zdołają rozłączyć żadne moce ziemskie i niebieskie”.

„A może nawet jest już dziś zapóźno“...?!

— Niech pani będzie łaskawa — odezwała się Michalina głosem ochryplym — obejmie moich chorych, dla których ja mam w tej chwili sił za mało, sekretarjat zaś syna pozostaje przy mnie.

Błyskawiczna chwila: szurnięcie krzesel, szelest sukien, jedno spojrzenie gniewne, jedno spojrzenie czarujące... i drzwi się za uroczem zjawiskiem zamknęły... Profesor rzucił się w fotel wzburzony, gniewny, bliski płaczu.

— Mój synu — rzekła matka, kładąc mu rękę na ramionach, Janina jest może trochę twarda, trochę sucha, zanadto materjalistka, ale ona ma cnoty matron rzymskich, cnoty naszych prababek, i ona jest matką twoich pięciorga dzieci. I ja przysięgnę, że ta kobieta nie zdradziła cię nigdy, nawet myśla.

Nie odezwał się, nie spojrzął na matkę, odwrócony wciąż plecami... A pani Michalina miała już w głowie gotowy plan kampanji... Znała obyczaje tej pięknej pani i postanowiła to wykorzystać.

— Mój synu — mówiła w kilka dni potem głosem spokojnym, urzędowym — pójdz spojrzeć na chorego Nr. 46, ale tak, aby on o tem nie wiedział, przez okienko. Nie podoba mi się jego wygląd.



Chory ten, skrępowany kaftanem warjatów, leżał, jak kłoda, po ataku furji nieprzytomny i bezwładny, nie przedstawiał nic ciekawego dla obserwacji... Ale to, co profesor zobaczył w drugim kącie pokoju, to było dla niego tak piorunujące... że uciekł od okienka, jak oparzony, i na długo zamknął się w swoim gabinecie—nawet przed matką.

Nie było to nic nadzwyczajnego... to, co ujrzał... ale dla zakochanego: zimny prysznic. Na kanapce siedziało obok siebie ramię w ramię dwóch studentów, a u nich na kolanach piękna asystentka ramionami objęła ich obu za szyję i ca-

łowała w usta na przemian to jednego, to drugiego...

Była to taka sobie zabawa: jeu innocent. Ale piękna asystentka tegoż samego dnia jeszcze odebrała od dyrektora kliniki dymisję.



MARJA KUNCEWICZOWA

## N A D Z A T O K A

### I.

Jestem w Gdyni. Codzień kładę się na piasku i patrzę. Patrzę najpierw łakomie na zatokę, na śmieszne zapienione po szczyńcemu falki u brzegu, na łan chabrowy, na owo ciche przedpole Bałtyku, który dopiero za Helską miedzą urasta w morze. A tutaj ledwie dycha skrzelami malutkich flonderek i kołysze się słodko, jak pszenica.

Potem, kiedy już wszystka czerwień gniewów, wszystka sadza smutku spłynie strugą w bławatkowy spokój, i falki, jak zwierzęta bezbronne i ciepłe, zaczną lizać ciało, wtedy patrzę sobie na ludzi. Na młodych i na malutkich. I spostrzegam odrazu, jak chłodne jest tête à tête współczesnego człowieka z przyrodą. Doprawdy zarosła już ziemię „niebylicą“ te drogi, toremi człowiek wyszedł z puszczy (rybak i góral, ostatni troglodyci, błakają się samowtór zahukani, w żadnej już nie notowani księżde wśród zalewu adwokatów i modystek).

Młodzi i dzieci. Są nadzy. Ale nagość ta nie poto, żeby w braterskim uścisku z falą, chwyciwszy oburącz jej kudłatą grzywę, przepływać wodę ku jakimś celom pilnym a codziennym. I nie poto, żeby skórę, oblepioną mułem pracy, spotniała od wysiłków, tu i owdzie rozdartą do krwi, obmyć w łaskawej niebieskości. Nagie ciała na plaży są leniwe i czyste. Są nagie od święta. Na piasku, drażniąc piętą mordki niedołącznych fal, leży człowiek nie tak, jak w tymże

piasku rośnie sosna, korzeniem, ni to pazurem, wabiąca ku sobie szafirowe mrowie. Mewa, która przysiadzie na żerdzi wśród czółen, wywleczonych na brzeg, nie jest dziś siostrą nagiego człowieka. I wiatr, najzdrażliwszy z pilotów, nie jest bratem sportowca. Z apokalipsowego kręgu przyrody człowiek wypadł na wieki, niby męzbójca z chrześcijańskiej społeczności. Zaplotły się przed nim w obronny uścisk konary drzew, zstąpiła na oczy mgła krótkowidztwa i pionowładne, swarliwe, pełnokrwiste świątki przeoblekły się, tocząc pianę z pysków, w blade szaty anielstwa, skropione paczulą i łzami. Zyskał sobie jednak pupilek aniołów na nowych drogach przyjacioły wierne. W legowisku, otoczonem cegłą, szkłem i żelaziwem, w mieście żyje za pan brat z ogniem i z maszyną.

Przyroda przestała być wielkim domem człowieka, jak jest dotąd domem wilków, flonder, gąsienic i modrzewi. Domem człowieka dziś jest miasto; ci, co mieszkają w chatkach i w wiejskich pałacach, to nie pędy, wyrosłe z ziemi i bujające nad nią w zgodnym rytmie z gryką czy z dębem, to nie są także głodne wspaniałe zwierzęta, których paszcze łakomie chleptały życie, wyprute z cudzych żył, a chociażby życie, płynące leśnym strumieniem. Ci wsiowi mieszkańcy to są prowincjonalni urzędnicy miast, tyśiączne macki, toremi miasto wysysa ziemię. I wcześniej czy później „sielscy urzędnicy“ czują swoje upośledzenie, rolę pańskich do-

„Szanowna Pani, psychiatryczna klinika wymaga od lekarzy wyjątkowej powagi i zrównoważenia moralnego. Pani w niej pracować nie może“.

— „Mamo, ratuj!“ zawołała głosem bezbrzeżnej rozpacz, tuląc się na klęczkach do kolan Matki męzowskiej spłakana, napół żywa Janina, w rękę jej szeleścił zło-wrogi list anonimowy!..

— Dziecko moje—rzekła Michalina, kładąc sobie na piersiach głowę synowej—jesteś już uratowana!

(c. d. n.)

stawców, i sami zapalają się pragnieniem życia w sercu świata—w mieście. Wieś coraz bardziej nabiera cech letniska albo uciążliwego terminu, który trzeba odpracować, zanim nastąpi wyzwolenie na majstra, godnego stąpać po asfalcie.

Przyroda zatem, przestawszy być domem, stała się boiskiem dla silnych i wirydarzem dla słabych.

Spoglądam na zatokę. Silni wiosłują. Spaleni na szafran i, dzięki sportom, wymodelowani w doskonały kształt zwierzęcy, klepią morze wiosłami, jak jeździec klepie dłońią po szyi uchodzonego ogiera. Giest jest cały mięśniem i cały obojętnością. Inni pływają. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Sumienny trening do linii pomostu i z powrotem. Morze się przydaje, bo jest mokre i ostatecznie nie gorzej zmontowane, niż basen braci Kozłowskich. Słabi, a zwłaszcza słabe, pozwalają się kołysać łodziom i sennym fluktom próżnowania. Kostjum kąpielowy nie jest „sztuką łatwą, ani małą“. Zato jakże łatwo w nim małą się wydawać syreną! Nie tylko śpiewać nie trzeba—nie trzeba nawet włosów utleniać. Wystarczy przy słowach: „O, tam widać Hel...“ wyciągnąć ramię łukiem tak, żeby palec wskazujący miał pozór różowego jęczyczka jakiejś krągłej opalonej żmiji i żeby między piersią a owym ramieniem błysnął strzęp złotych nici (ten sam giest w sukni balowej wygląda zupełnie inaczej). Poto jest morze, i poto są dla słabych wirydarze,



A później (po miesiącu, po dwóch), kiedy mocni, wśród ciągłych ćwiczeń fizycznych, które podobne są harcom pchły na ciele niedźwiedzia, nastawią muskuły i nerwy na tempo „di marcia grandiosa”, zaś słabi (słabe) wykończą ostatnią serję póż, obnażeń i pasterskich płużów — wrócimy do miasta i znowu będziemy ludźmi serjo. Zaczepnęło się tego i owego z „ożywczej krynicy”, to i owo w niej zostało spławione i „addio, boska natura!” do przyszłych wakacji,

póki nie powie nam eskulap: „nerwica” albo nie szepnie przyjaciel: „linja, linja jest pięknem, o, słodka przyjaciółko!”...



J U L J U S Z W I R S K I

11

## IDYLLA NA ARKTYKU

(Dokończenie)

Jeśli to miał być przypadek, to jakąż miarą mierzyć świat i życie, gdzie niepoczytalne w swym ogromie cierpienie jest sprawą przypadku; a jeśli przeznaczenie, któż jest ten, co takie rzeczy przeznacza słabemu sercu człowieka? Procesował się tedy z nią samą, na niewidzialne, starając się dotrzeć do samego najzawziętszego wroga. Błagał ją, nieobecna, żeby przez litość samą zechciała go na zawsze zostawić w spokoju, żeby nareszcie stała się czemś nierealnym, czemś, czego niema i być nie może.

Ale, jakby na przekór tej żądzy rozpacznej, każdy dzień szczęścia, którego bujny kwiat rozkwitał przed jego oczami, przywoływał z mroków oddalenia i tęsknoty ostre, zapalczywie atakujące przypomnienie. Oto tak samo było z tobą, oto tak samo mogło być i być powinno między wami po wszystkie dni życia. Wszakże nie było żadnych przeszkód, prócz tej jednej, która dziś jakże błahą musi się wydawać im obojgu. Co sprawiło, że przeogromna miłość, miłość ofiarna i darząca, stała się klęską dla obojga, nosicielką przeklętą cierpienia bez miary?! Opinia? — ten potwór wielogłowy, tem bezmyślniejszy, im więcej mózgów anemicznych mięści pod kopułą płąskich czaszek! Ale przecież opinja stanęłaby po ich stronie. A więc pro prostu nikczemny strach przed szczęściem nad zwykłą miarę ludzkiego szczęścia!

Dochodząc do tego punktu rozważań, Piotr doznawał nagłego porwywu niepomamowanej wściekłości.

Oto sami, z dobrej woli, zaplątali się w karzącą nic kłamstwa, nie-szczerości, znikomych nieporozumień. Drobne nieporozumienia, rozgoryczenia, żale chwilowe narastały zwolna a nieustannie, aż utworzyły potworne wzgórze niechęci, nieprzebytą zaporę uraz. Szatańska duma zamykała im usta, ilekroć zamierzali przystąpić do świętej komunji pojednania.

Każde z nich z osobna czuło się na siłach walczyć w obronie swego szczęścia z całym światem, a nie zdobyli się, aby to uczynić wspólnymi siłami. Kochając się do szaleństwa, nigdy nie wazyli się na szczerść zupełną, a wiedząc, że całe życie zawisło od jednego, z głębi serca wypowiedzianego słowa, nie wypowiedzieli tego słowa ostatecznego przez dumę, obawę, upór czy szaleństwo. „Oto teraz jest lepiej, myślał z rozpaczą w duszy, kiedy na dwu krańcach świata poniewierają się wszystkie marzenia o szczęściu i szarpią żywą pamięć radości szatańskim śmiechem szyderstwa”.

I co mu teraz życie wśród ludzi i widok cudzej radości! Skoro nigdy nie stanie się rzeczywistością radość własna, niech lepiej dusza stanie się do dna obłąkana jej fantasmagorją, oszukańczą samoułudą, rozkosznym kłamstwem. Oto stworzył sobie świat wyobraźni, pozwolił urzec swe serce ukochanym złudzeniom, zaklął swe życie w wizję rajską, co się odbywa na pograniczu nieba i ziemi, i więcej nic mu nie trzeba. Nie, nie pojedzie z nimi! Zatruliby tylko ich szczęście swoją obłąkaną, zgłodniałą tęskno-

Pstra gromada pierzchnie niedługo, jak rój świegotliwych owadów, uprzykszony nalot na oczach olbrzyma. Woda wymuszcze znowu zmiętoszony atlas na brzegu, i zatańczą, zakrzykną, oszaleją wiatry.

Jeden mój Wituś maleńki, gdyby tak został tu, na piasku, w swojej kusej koszuli z muszelką w garści, nie wadziłby pewnie morzu, wiatrom ani mewom, bo on jeden od czasów Smętka został ten sam — rodzony synek puszczy. (d. c. n.)

tą za mirażem, za Fata-morganą rzeczywistości. Nie, niech jąda w świat daleki sami, niech uciekają przed groźnym oblędem samotnika w szeroki, rozległy świat!

Tymczasem zaś długa zima miała się ku końcowi. Coraz częstrze się stały tajemnicze wycieczki Piotra, i oto raz do samotnej pustelni, poraz pierwszy od jej istnienia, zawitał gość, człowiek nieznan. Kiedy zdjął z siebie górę futer i rozwinął się z kilku pleców, ów nieznamy okazał się księdzem katolickim, Bóg wie jakimi drogami przywiezionym przez Piotra. Wobec niezwykłych okoliczności, klecha zgodził się dać ślub młodej parze, choć tylko Alkase była katoliczką, i brak był dowodów i świadków. Ślub ten uczynił na wszystkich obecnych głębokie wrażenie.

Słowa przysięgi, wypowiedane po angielsku w izbie prostej i ciemnej zapewne po raz pierwszy od istnienia w tem miejscu siedziby ludzkiej, brzmiały dziwnie uroczyście i wzniosłe. Pozostało jedynie przeprowadzić niezbędne formalności u władz gubernjalnych, gdyż adoptację przeprowadził Piotr wcześniej w tajemnicy przed młodymi. W postaciach tych, gdzie prawo często jest jedynie czczą formalnością, ci, którzy zwracają się o jego pomoc, zostają zaspokojeni szybko i z pewną gorliwością, jako wyjątkowe jednostki. To też zaraz po ślubie zakończono sprawę ostatecznie, przyczem Alkase została spadkobierczynią nie tylko nazwiska i praw obywatelskich Piotra, ale i całego jego majątku. Należało



teraz czekać wiosny, której pierwsze przejawy dawały się już uczuwać, aby wyjechać do Anglii. Na myśl o szybkim rozstaniu Alkase, pomimo ogromnego szczęścia, posmutniała. Żal jej było tego człowieka, którego pokochała zrazu pierwszym uczuciem dziewczęcego serca, a później uczciła, jak ojca. Wiedziała, że nic nie wpłynie na zmianę jego postanowienia, ten człowiek umiał być twardym dla siebie. Odczuwała więc, jak swoją własną, jego tragedję osamotnienia i z trwogą myślała o życiu, które będzie tu pędzić po wszystkie dni. Tyle jednak na nim wymogła, że obiecał solennie odwiedzić ich w Anglii. Tego kraju, o którym tyle słyszała od Thomson'a i James'a, a także od samego Piotra, bała się niezmiernie, instynktownie wyczuwając trudności, jakie ją oczekiwały wobec konieczności przystosowania się do nowych warunków, społeczeństwa, stosunków towarzyskich i tradycji. Tylko miłość wielka i zaiste dzie-

cięco ufna pozwalała pokonać, choć nie bez trudu, tę obawę.

Ale i dla Piotra chwila rozstania była niemniej ciężką. Rozumiał dobrze, że dziewczyna przestała należeć wyłącznie do niego, że traci ją na zawsze, że samotność beznadziejna stanie się jego udziałem. To też, kiedy pierwsze lody ruszyły i nastąpiła chwila pożegnania, był krótki moment, że się zawahał i chciał jechać z nimi. Oni zaś, kiedy dostrzegli to wahanie, zasypali go prośbami, błaganiami, przedłożeniami. Alkase, z oczami pełnemi łez, łkając spazmatycznie, tuliła się do jego szerokiej piersi. Nawet James nastawał z taką energją i siłą uczucia, że widoczne było, iż czyni to z głębi serca, nie zaś przez prostą formalność.

Wszystko napróżno. Chwilę słabości zgniół w sobie żelazną wolą, żal, lęk przed nieznanem zataił głęboko w sercu i został. Nawet nie odwiózł ich do portu: na to nie starczyłoby mu poprostu sił. Gdy zaprzęg ruszył z przed

chaty, a dziewczyna zanosła się wielkim płaczem, doznał niby spazmu nagłego żalu, i dwie wielkie łzy potoczyły się po zbrudzonych cierpieniem policzkach. Ale zmoczywał i to. Złociście przecież świeciło słońce, fijołkowo, czarodziejsko kwitły saxifragesy, mieniła się woda tysiącem blasków i kryształowo przelewało się powietrze. Przyleciały alki, zimorodki i inne ptasie gromady czynić gwar wiosenny w pustelni. Piotr patrzył długo, póki nie stracił z oczu odalającej się pary, a i potem jeszcze stał długo z głuchą udręką żalu w zabitem sercu. W pewnej chwili podniósł oczy do nieba ni to z groźbą, ni to z błaganiami, oczy wielkie, dobre, cierpiące, przesłonięte teraz wielkimi łzami. A wtedy zdało mu się, że skroś błękit bezmierny, przebogato utkany złotem słońca, idzie ku niemu wizja cudowna z oczami saxifragesów, pani anielska, owo niesłychane, nigdy niezapomniane zdarzenie w kraju dalekim z przed lat.

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

17

## ZATRZYMANY ZEGAR

(p o w i e ś ć)

### XXI.

Czy to możliwe, że wiosna, prawdziwa wiosna rozgościła się już na dobre?

Wdycham mocną woń pierwszych ziółek, wychylających z ziemi nieśmiało listki, patrzę na niebo, rozbłękitnione najczystszym lazurem o barwie słodkiej i głębokiej, słucham rozświegotanej czerechy ptactwa, które z dalekich wędrówek całemi chmarami powraca i śpiesznie wije gniazda wśród półnagich gałązek, i nie chce mi się wierzyć, że to dopiero połowa marca, że mogą jeszcze przyjść ostre wichury i deszcze, zmieszane z topliwym śniegiem, chłodne dni opamiętania po niewczesnej radości!

Nigdy jeszcze chyba wiosna nie wydała mi się tak upragnioną, jak obecnie. Z niepokojem i niedowierzaniem badam jej triumfalny pochód przez skostniałe pola, przez oziminy, pokryte gdzieś tam szmatką zbrukanego śniegu, przez wezbrane strumyki leśne i rozległe mokradła łąkowe...

Codzień z rana biegnę do okna, otwieram je naocież i z rozkoszą wciągam w płuca powietrze, [prze-

pojone ozonem. Przymykam oczy, by uczuć na powiekach to cudowne dotknięcie słońca, które już grzeje, a jeszcze nie pali. Wczoraj zauważyłam na szybie okiennej dużą, czarną muchę. Lazło to po gładkiej powierzchni szkła trochę ociężale, niepewnie, przystając po drodze, rozprostowując zwątlące skrzydełka i próbując nieśmiało pobzykiwać. Wreszcie, nabrawszy odwagi, oderwała się od szyby i jęła z głośnym brzęczeniem krążyć pomiędzy czterema ścianami pokoju, w którym przetrwała zimą, odrętwiała i senna, ukryta gdzieś w szczelinie muru czy między belkami sufitu.

Podobnie i moja odrętwiałość znika z dniem każdym. O, wspaniałe słońce, cudowny tworze boski, który masz tę niespożyta energję odradzania w każdej najlichszej roślinie soków zakrzepłych, wsączasz w nią siłę do życia, pomagasz do jej rozrostu i wydajności! O, dobre słońce, najgenjalniejszy lekarzu wszystkich krzywizn ducha i ciała! Jednym ciepłym spojrzeniem przenikasz i ogrzewasz serce człowieka, zabijasz w niem zarazki szkod-

liwe, osuszasz stęchłą wilgoć jego tkanek, oczyszczasz je i prześwieglasz!

Jak w sukni odświętnej, chodzę w upojeniu. Obnoszę moją zmarfwichwstałą radość pomiędzy ludźmi, ciesząc się, gdy oni to widzą.

Codziennie po skończonych lekcjach idę na długą przechadzkę. Tak długą, jak tylko pozwalają mi zwątlące siły. Nie mogę jakoś jeszcze odzyskać ich w zupełności po owym ciężkim zaziębieniu. Są dni, że mówię z trudem: przekłęta chryпка tamuje mi głos, który po pięciu godzinach szkolnych brzmi, jak spēkany garnek.

Na owe przechadzki zabieram czasem Teosia, a czasem pannę Leonię, o ile imć Dąbkowi wypadło jakieś ważne zajęcie, odrywające go od narzeczonej. Bo oni już się zaręczyli. Wyznała mi to sama panna Leonka, właśnie na jednej z takich przechadzek. Szłyśmy drogą w kierunku Klimontowiec, choć tam teraz błocko prawie po kolana. Ale zato zachody słońca niezrównanej piękności, zwłaszcza od strony łąk, zatopionych pod wodą.



Stanęłyśmy i patrzyły na te mokradła, różowe od ostatnich słonecznych blasków. Dalej widniał już tylko wąski skrawek lasu na horyzoncie, a wyżej rozpętało się całe morze ognia na niebie. Panna Leonka zadumała się jakoś niesamowicie, wreszcie rzekła:

— Proszę pani... Bo ja już dawno chciałam pani coś powiedzieć... W niedzielę zaręczyłam się z panem Władysławem!

Przymknęłam oczy i odwróciłam głowę od tej orgji barw złoto-amarantowych, aby sobie uprzytomnić, że to mój kolega, Dąbek, ma na imię Władysław, i że z nim właśnie zaręczyła się moja koleżanka, Eleonora Mrozowiczówna.

— Co słyszę! — rzekłam ze zdumieniem, jakgdyby rzeczywiście ta nowina zaskoczyła mię zupełnie niespodziewanie.

— A tak, proszę pani! Zaręczyliśmy się w niedzielę, po sumie. To się stało nagle, i ja sama...

Przyszło mi na myśl, że tu, w N., wszystkie ważniejsze wydarzenia zachodzą zwykle w niedzielę, po sumie: po sumie siostra proboszcza sprasza wszystkich na obiad do plebanji, po sumie Madame Bujakowska prezentuje swą nową toaletę na rynku i wzdłuż całej alei Klimontowskiej, po sumie upija się szwec Kaźmierowicz i po sumie zabiega do mnie „na minutkę“ Teoś z jakąś bardzo ważną nowiną...

Nie zdziwiło mię to zbytnio, że panna Leonia zaręczyła się akurat w niedzielę i akurat po sumie. Tak należało. W wielkim mieście można się zaręczyć w karnawale po balu albo w poście po raucie, albo podczas okresu majówek na promie, na statku i t. d... Tu, u nas, nabożeństwo niedzielne jest jedyną atrakcją tygodnia. Ludzie przychodzą, aby się modlić, ale przy tej sposobności przypatrują się sobie, wymieniają trochę myśli, dzielą się ploteczkami, słowem — niedziela dostarcza im rozrywki.

Spoglądam na moją pannę Leonkę uważnie. W tej chwili dostrzegam, że jest bardzo ładna, z twarzą, różową od zachodzącego słońca, z oczyma promiennymi, z tem uśmiechem szczęścia, które najwidoczniej przepełnia jej serce i musi jakoś wyładować się nazewnątrz w jakichś słowach, w ja-

kimś ogromnym wylewie szczerości. Mówię:

— Przyznam się pani, wiedziałam, że to wkrótce nastąpi. I cóż — zadowolona pani?

— Zadowolona? O, ja nie potrafię wypowiedzieć, co się ze mną dzieje od trzech dni! Chce mi się płakać i śmiać, na zmianę... Całkiem zdurniałam, proszę pani. Bo myślałam sobie zawsze: lubić, to on mię lubi, może nawet coś więcej... Ale żeby się chciał ze mną ożenić? Cóż ja jestem? Biedna dziewczyna, bez rodziny, bez majątku, tyle, że na ten kawałek chleba zarabiam... A on taki inteligentny! Na uniwersytecie był, proszę pani! On daleko zajdzie, prędko inspektorem zostanie, — zobaczy pani! Taki młody, a jak go wszędzie „uwają“, jakie on ma uznanie w naszym „Ognisku“! Wie pani, on ma dopiero dwadzieścia cztery lata, sam się do tego przyznał wtedy, w niedzielę.

— Jakże to tam było, panno Leoniu? — pytam, bo widzę, że aż drży z niecierpliwości, aby mi opowiedzieć wszystko, słowo po słowie, aby raz jeszcze przeżyć wzruszenia tamtej niezapomnianej chwili.

— Jak było, proszę pani? Tak jakoś... nadzwyczajnie... Anim się spodziewała! Po sumie zaszedliśmy do szkoły, bo ja tam zeszyty zostawiłam, co je miałam poprawić na poniedziałek. Wzięłam te zeszyty ze stołu, a on mi je odebrał z rąk i mówi:

— Proszę pozwolić, ja pomogę...

I raptem, ni stąd, ni zowąd, powiada do mnie:

— Jabym tak całe życie te zeszyty za panią nosił... I każdą przeszkodę bym z przed pani usunął... Jabym tak z panią chciał przez całe życie iść razem, jak teraz idziemy na plebanję...

Umilkła panna Leonka i uśmiechnęła się do niedalekich wspomnień. Po chwili dorzuciła, patrząc znowu rozmarzonymi oczami na wodę, pełną blasków słonecznych:

— I to były całe oświadczenia, proszę pani, bo potem... już dobrze nie pamiętam... Odpowiedziałam coś, ni w pięć, ni w jedenaście. On znowu o tem życiu wspomniął, we dwoje... I zaraz zaczęliśmy układać sobie, jak to będzie, gdy się pobierzemy. Pan Władysław

chce, żebym \*latem pojechała do jego matki, która mieszka daleko stąd — w Stryju. Z Małopolski pochodzą. A po wakacjach wrócimy tutaj, wynajmiemy sobie mieszkanie, dwa pokoiki z kuchnią, pewnie u Szlomki, bo tam są najładniejsze mieszkania, słoneczne. Ślub weźmiemy tam, w Stryju, żeby matka pana Władysława nie potrzebowała wyjeżdżać. Oj, proszę pani, aż mi się wierzyć nie chce w to wszystko... Kwiecień, maj, czerwiec, lipiec... We wrześniu już się zacznie szkoła... Oj, proszę pani, czy to możliwe? A ja nawet wyprawy nie mam. Nic, nic... Jak tu teraz szyć? Z czego? Pan Władysław śmieje się ze mnie, powiada, że u matki ma trochę własnych mebli, a resztę, co będzie potrzebna, to się potrochu dokupi... Jaki on dobry! Jaki on kochany, proszę pani! Strach, jaki kochany! I żebym ja choć cośkolwiek miała, chociaż własną szafę na rzeczy! Wszystko to seminarjum zjadło, wszyściutko! Aż mi wstyd, że tak nic nie mam, jak żebraczka jaka!

— Ma pani coś ważniejszego, panno Leoniu. O to serce, które pani wniesie do swego domu, więcej panu Władysławowi chodzić powinno, niż o wszystkie bogactwa świata...

Oj, stara niepoprawna Krysiul Gadasz, jak pensjonarka, a dobrze wiesz, jak to bywa na świecie! Dobrze, dobrze wiesz! Na stu najzaczniejszych Dąbków dziewięćdziesięciu dziewięciu nie oprze się zalotnemu uśmiechowi uwodzicielki, Fortuny. Niechaj dziś zjawi się w N. niebrzydka, a zamożna panna, któraby nagłym dla pana Władysława zapłonęła afektem, a kto wie, czy i onby się ostał? Serce, to taka drobnostka! To tak niewiele kosztuje pominąć głos serca milczeniem... Może potem kiedyś przyjdzie taka chwila, gdy przeszłość nabierze ceny. Wówczas dopiero spostrzegamy, że serce to było nieocenionym skarbem, i przeto nie potrafiliśmy go docenić...

Niechby ta panna Leonka była szczęśliwa! Niechby się okazało, że jej Dąbek silniejszy jest, niż wszelkie pokusy! Niechby sobie mieli jasny, pełen słońca dom, lnianowłose dzieciaki, sporo trosk, ale i radości dużo w życiu cichem i bardzo własnem!...

(c. d. n.)





KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

## PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

10

Lucy i Pamela nie przyjechały na „Drogę Olbrzymów”. Przeważył mimo wszystko wzgląd: Co świat na to powie?

„Serce moje jest w Belfast — pisze Pamela — duszą całą będziemy z Tobą i z kochanym naszym przyjaciелеm. Daję dowód heroicznej rezygnacji, pozostając w domu, ale nie mogę narażać Lucy... a nie uwierzyłbyś nawet, co powiedziała ciotka Sarah na myśl o naszej podróży!”

„Życie jest pasmem przeciwności, oby się na tem tylko skończyło! — filozofuje, pocieszając Łucję. — Przyjacieli nasz przyjedzie z Edwardem, więc będziemy jeszcze raz mieli nasz miły, ukochany quator, jeśli Milady raczysz nawiedzić nasze skromne progi — dodaje żartobliwie. Zobaczysz Artura prędzej odemnie, ciekawam, jaką minę zrobią siostry, gdy przyjdzie złożyć ci wizytę!”

Tymczasem 3 lutego przyszedł wczesnym rankiem sam Edward; zastał Łucję jeszcze w łóżku. Przeraziła się, widząc tak wesołą zwykle twarz brata, zasepioną głębokim smutkiem: O'Connora zaaresztowano, dopatrując się w mowie jego, wygłoszonej w Armach obrazy majestatu.

Obie przyjaciółki-bratowe dają folę żalom w listach, krążących codzień prawie między Dublinem a Kildare.

„Najdroższa Lucy, piszę tak krótko, bo jestem śmiertelnie smutna. Nasz drogi przyjaciel — och, wścikłość mnie ogarnia — serce moje zboleła, uciśnione — jednym słowem: dzieli los Artura — nie chcę wierzyć, aby go długo w więzieniu trzymano, ale czyż jest dla nas prawo!

„Mój aniele, jak mi żal teraz, żeśmy nie pojechały do Belfast, jak tego pragnął nasz biedny przyjaciel. Bylibyśmy tak szczęśliwi! O źli ludzie, ileż bólu przyczyniacie tkliwym sercom! Jedyna nasza pociecha w Cnocie, trzeba z rezygnacją znosić kaprysy niestałej fortuny i spuścić się na sprawiedliwość Najwyższego Sędziego”.

„Dobrej nocy, my darling, ja nie mogę spać, gdy tylko zdrzemnę się, trapi mnie okropnie zmora i, jak inni bezsenności, tak ja lękam się snu”.

„Chciałabym zapomnieć o życiu — pisze później — i zbudzić się aż wtedy, gdy ono stanie się znów przyjemnością a nie, jak teraz, ciężarem nieznośnym, najmniejsza rozrywka wydaje mi się obrazą przyjaźni, krzywdą wyrządzoną przyjacielowi, którego nie-szczęście tysiąc razy droższym czyni”.

Niebawem Edward i Pamela udają się do Dublinu i nawiązują potajemnie stosunki z aresztowanym, posyłają mu książki i podarunki.

„Tysiące podziękowań dla mojej zawsze drogiej Pameli za jej dary — pisze O'Connor na okładce zwróconej książki — i kochanej dobrej Lucy za jej królewskie pomazanie.\*) Widziałem tę ukochaną przyjaciółkę przez zakratowane okno mego więzienia: niestety: była blada, płakała swego przyjaciela... Niech prześladowanie sroży się, jak chce nad nami, zobaczymy się wbrew wszystkiemu i okrutna rozłąka powiększy tylko radość powitania”.

Lady Sarah, bystro patrząc na ludzi i zdarzenia, tak oceniała sprawę O'Connora: Mówcie sobie, co chcecie, jest to człowiek skąd inąd godzien uwielbienia, jest mądry i ostrożny, na pozór trudno go chwycić za słowo, ale we wszystkim, co robi i mówi: jest cel jeden, powstanie, a czyż nawet z punktu widzenia patriotyzmu irlandzkiego walka z Anglią, oderwanie się, nędza stąd i wynikała, nie byłoby gorszą klęską dla Irlandji od jarzma angielskiego?

Tak mówi rozsądny głos oportunisty, ale czyż kiedy słuchali go ludzie, idący „Drogą Olbrzymów”?

## V

## SREBRNIKI JUDASZA

„Brat Karol przyszedł do mnie dzisiaj i przestraszył mnie, mówiąc, że w ręku rządu są papiery kompromitujące Edwarda i że on powinien uciekać...” notuje w dzienniczku swoim Lady Lucy 12 lutego.

\*) Lucy przywiozła z Anglii słoik pomady dla Artura, którego zwano „Królem Connaught,” jako potomka władców tej ziemi, stąd w listach żartobliwe wzmianki o Jego Królewskiej Mości, czekającej namaszczania.

Byłam, jak struta przez dzień cały. Edward jest w Belfast, stąd plotki.”

Fitz Gerald pośpieszył na północ w ważnej sprawie. Przy aresztowaniu O'Connora wpadły w ręce rządu papiery, mogące wyjawiać plany insurrekcji. Trzeba było wszystko przerabiać, zmieniać poprzedziej. Gdybyż się był domyślał, że w najściślejszym kole Komitetu Wykonawczego zasiada zdrajca i donosiiciel! Ostrzeżeń nie brakło, jednak ogólnikowe, szeptane na ucho rodzinie, wydawały się czczeniem pogroźkami. Najbardziej niepokoiła się matka i prosiła Łucji:

„Mów z Edwardem, wpłyni na niego, choć trudno jest walczyć z entuzjazmem...”

Księżna, gdyby nie wpływ drugiego męża, patrzyłaby na sprawy irlandzkie oczyma najmłodszego syna: „Dobry Boże! — wzdycha, czytając słynną mowę O'Connora — jak można nie uznać prawd, wypowiedzianych z taką siłą i w sposób tak przyzwoity! Jest to zaślepienie, posunięte do najwyższego stopnia. Smutne to wszystko, strasznie smutne, ale należy ufać Bogu, który jeśli zsyła na nas próby, musi mieć w tem jakiś cel dobroczynny, przed nami skryty, i daje nam siłę do zniesienia ich. Znajduję w duszy mojej więcej hartu, niż przypuszczałam. Powiedz to memu Eddy i ucałuj go ode mnie. Jego śliczny chłopaczek jest zdrów, wesół i szczęśliwy.”

A jednak dziecko tęskniło za rodzicami, których tak przecie rzadko widywało.

— „Siadaj koło mnie, babciu — prosi — i opowiadaj mi o tatusiu, mamusi, maleńkiej Pam, a także o Tonym murzynie.” Zastanawia się, jakby sobie coś przypominał, a jeśli opuszczę najmniejszy szczegół, to mnie poprawia. Jakto w w Ealing (letniej rezydencji księżnej) tatuś sadzał go na konika... a „ładna mamusia” tańczyła z nim po trawniku, jak bawił się na jej łóżku z „biedną” małą Pam, jak chodził na spacer z Tonym. I tak całymi godzinami, a potem patrzy na portret Edwarda i mówi: „Kochany, dobry tatuś!” Kiedy widzi mnie przy biurku, pyta, czy piśszę do jego ojca, a potem bawi się w listonosza, który nosi listy do Irlandji.

(c. d. n.)



## OBÓZ ŻEŃSKI PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO W ZALESZCZYKACH

Życie nasze w obozie w Zaleszczykach wre już w całej pełni. Po bardzo wesoło spędzonej drodze (jechałyśmy całym transportem w oddzielnych wagonach prawie 2 doby) przyjechałyśmy koło 9 rano 30-VI do Zaleszczyk.

Na dworcu oczekiwała nas serdecznie witana komendantka Podhorska, zaraz zajęłyśmy się pod jej kierunkiem pośpiesznym ładowaniem naszych bagaży na wojskowe wozy. Naprędce ustawione we czwórki, nie umiejące jeszcze porządnie maszerować, przeszłyśmy szybko wśród ciekawych spojrzeń mieszkańców, wylegających na nasz widok przed domy, do naszego mieszkania w „Internacie Seminarjum Nauczycielskiego”.

Pierwsze wrażenie nieszczerólnie, bo choć odrazu zachwyciłyśmy się śliczną okolicą, skalistym wybrzeżem rumuńskim, bukietami sadów i zdaleka szumiącym wezbrany Dniestrem, to samo miejsce zamieszkania zniszczone, dom, poznaczony śladami kul, obok ruiny i gruzy spalonego podczas wojny browaru, przytem wszędzie błoto, błoto gliniaste, ciężkie, nie do odczyszczenia.

Szybko i sprawnie podzielone na plutony i drużyny, zajmowałyśmy wyznaczone nam sale lub namioty, i każda zajęła się rozpakowaniem swoich skromnych pakunków i doprowadzeniem koszar do porządku.

Pierwsze dni były pod znakiem ciągłej ulewy, ustającej jedynie na momenty, suszenia ubrania, czyszczenia beznadziejnego butów.

Prócz nielicznych wyjątków, nie tracił nikt mimo wszystko werwy i humoru.

Na dzień 1-VII obóz był już na tyle urządzony, umundurowanie słuchaczek ujednostajnione, a one same na tyle „podmusztrowane”, że można już było dokonać oficjalnego otwarcia naszego kursu.

Na otwarciu obecni byli, prócz naturalnie naszych szarż: p. pułkownik Kamiński, szef sztabu O. K. VI., pułkownik Mond, major Taff, dowódca tutejszego baonu szkolnego, jako przedstawiciel władz cywilnych, p. komisarz Marczyński. Pułkownik Kamiński w krótkim, ale treściwym przemówieniu, witając nas w imieniu D. O. K., podniósł doniosłość roli, jaką kobieta uświadomiona o swych obowiązkach obywatelskich i przygotowana fachowo do służby dla kraju, może i powinna

odegrać czy to w czasie pokoju, czy w czasie wojny.

Słowa te, padające z ust reprezentanta sfer wojskowych, były dla nas tem miłsze i cenniejsze, że są dowodem, jak poważnie i ze zrozumieniem nasze władze wojskowe traktują pracę kobiecą.

Obudziły one w nas wszystkich żywy oddźwięk i nadzieję, że na drugi rok już niejedną, że tak powiem, eksperymentalny obóz żeński P. W. powstanie, lecz, da Bóg, dziesiątki ich czasami wykwitną w uroczych wsiach i letniskach naszego kraju.

Imieniem Zaleszczyk witał nas serdecznie p. Marczyński.

Ale chcę przystąpić do istoty naszej pracy, do jej organizacji, tembardziej, że na każdym kroku spotykamy się z niezrozumieniem naszych badań nawet wśród inteligentniejszych sfer naszego społeczeństwa.

Uczestniczkami obozu, a jest ich 110, dzielą się pod względem nauki na 3 grupy: pierwszy kurs przygotowawczy, ogólnie wojskowy, który obejmuje obchodzenie się z bronią, służbą łączności, obroną przeciwigazową, terenoznawstwo, higienę, pierwszą pomoc sanitarną, musztrę, służbę wewnętrzną i organizację armji, przygotowuje słuchaczki albo do dalszego szkolenia, ścisłe fachowego, w zakresie wojskowej służby pomocniczej, albo do przejścia drugiego kursu, instruktorskiego.

Po ukończeniu więc tego kursu ogólnego, gdy dana osoba pozna swe uzdolnienia i zamiłowania i posiada niezbędne podstawowe wiadomości i wyrobienie wojskowe, może być skierowana czyto na specjalny kurs gospodarczy, czy na kurs łączności, oświatowy, biuralistki lub sanitarny.

To, że przed obraniem sobie jakiegoś jednego działu, słuchaczki muszą przejść podstawy wyszkolenia żołnierskiego, stanowi właśnie naczelną zasadę pracy P. W. kobiecego.

Niema być w wojsku cywilnych biuralistek, sanitariuszek, wogóle żadnych sił pomocniczych. Kto w wojsku pracuje, musi być przede wszystkim moralnie, i fizycznie odpowiednio wyszkolony, wydyscyplinowany, musi mieć sposób myślenia, pracowania, wogóle — sposób bycia wojskowy, musi ducha tego życia wojskowego znać i rozumieć.

Sanitariuszka musi w razie potrzeby umieć chwycić za karabin, biuralistka czy telefonistka gdzieś

na froncie zachować zimną krew w razie niebezpieczeństwa lub dochować ściśle tajności przechodzących przez jej ręce dokumentów.

Z pośród zdolniejszych uczestniczek 1-szego kursu i takich, które posiadają odpowiednie zdolności pedagogiczne, a chcą nadal w P. W. pracować, wybiera się kandydatki na kurs drugi czyli instruktorski.

W obozie obecnym kurs ten liczy 19 słuchaczek, będących, że tak powiem, zarybkiem naszej dalszej pracy. Zakres ich nauki rozszerzony i pogłębiony, główny nacisk położony na umiejętność instruowania.

Drugi kurs to nasze kadry organizatorek dalszych obozów i kursów zimowych, to te, które P. W. chcą już na długie lata swoje młode siły poświęcić.

W obozie naszym, prócz obu wymienionych kursów, jest jeszcze kurs pierwszy A. Jest to już kurs fachowy, mianowicie niższy kurs sanitarny, którego uczestniczkami, prócz skróconego przeszkolenia wojskowego, uczą się pielęgniarstwa; kurs pierwszy A. liczy 17 osób.

Na wszystkich kursach obowiązuje ten sam program wychowania fizycznego: codzienna gimnastyka, gry ruchowe i kąpiel, połączona z nauką pływania; w wolnych chwilach słuchaczki ćwiczą się w strzelaniu z flowerów i łuków, mają też dyski i oszczepy.

Przy ćwiczeniach fizycznych nie ma już podziału na kursy, lecz na 3 grupy sprawności i siły.

Pod względem wojskowej organizacji słuchaczki podzielone są na 2 plutony, pozostające pod dowództwem komendantek, byłych oficerów: porucznika Kudelskiej Stefani i podporucznika Podhorskiej Marji. Całym obozem dowodzi porucznik Marja Wittekówna.

Wymienione komendantki prowadzą część wykładów i zajęć same, reszty instruktorów dostarcza baon szkolny. Instruktorzy ci, tak oficerowie, jak i podoficerowie, z dużą życzliwością i zapałem, mimo iż są równocześnie obciążeni pracą we własnym bataljonie, poświęcają swój czas i wiedzę naszemu obozowi. Lekarzem obozowym jest pani dr. Skokowska.

Fachowymi kierownikami kursu sanitarnego są pp. dr. Manowardo, który prowadzi wykłady, i dr. Rosen, dyrektor powszechnego szpitala,



dokąd słuchaczki uczęszczają na zajęcia praktyczne.

Kancelarję obozu prowadzi adjutantka p. Helena Pawłowiczówna.

Do wytworzenia bliższego współżycia duchowego i pewnej łączności ideowej między uczestniczkami obozu przyczyniają się bardzo gawędy wieczorne, prowadzone na wzór harcerski przy ognisku.

Gawędy te, prócz komendantek, prowadzi p. Martynowiczówna; tematy do nich podają często same słuchaczki. Mówi się tam najwięcej o obowiązkach wobec kraju, o pracy społecznej, o kształceniu charakteru i wielu wielu innych poważnych, a interesujących młode umysły zagadnieniach.

I. Fabrycowa.

## ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

(ciąg dalszy)

Celzjusz, opierając się na przykładach, zaczerpniętych z naukowych obserwacji życia pszczół i mrówek, szeroko przez niego opracowanych, mówi:

— „Jeżeli ludzie myślą, że stoją o tyle wyżej od zwierząt, gdyż są uspołecznieni, żyją w miastach, które sobie zbudowali, wydają prawa i uznają władze zwierzchności — to myślą się w swej pyszel Pszczoły i mrówki żyją w tenże sam sposób. I pszczoły mają królewską władzę nad sobą, z którą się cały ul liczy, i one mają swoje osady, swoje rozbudowania, określony czas pracy i to intensywniej, mają kary na leniwych i złych, prowadzą wojny, ponoszą klęski i odnoszą zwycięstwa, wymordowują zwalczonych“.

Co do mrówek, Celzjusz ceni je i stawia bardzo wysoko za ich nie tylko tak ogólnie znaną przysłowiową pracowitość oraz cudowne organizacje mrowiskowe, ale za pewien sentyment, który cechuje wzajemny stosunek mrówek. One się wzajemnie, zwłaszcza w pracy cięższej, ogromnie wspierają. Silniejsze fizycznie pomagają słabszym od siebie przenosić n. p. ciężary, i to niekiedy mrówki z tego samego mrowiska. Niestety, cechy tej ogólnie ludzkości nie posiada. Następnie podnosi Celzjusz ogromny zmysł praktyczno-gospodarski, mrówek.

Czuwają one bardzo nad swymi zapasami zimowemi, i gdy nagromadzone ziarenka zaczynają w ciepłe ich składów kielkować, mrówki przebiegają je. Odcinają niebezpieczne kielki i oczyszczają w ten

sposób ziarenka składają na osobne kopce, z których, jako mniej pewnych do przechowania, biorą sobie na pokarm najpierw, zostawiając zdrowe, nie porośnięte ziarenka na później. Następnie, porusza Celzjusz to, co podnosi i Plinjusz, że mrówki mają swoje cmentarze, na których grzebią zmarłe.

„I jakąż różnicę widziałby ten, co by spojrział z wysokości na ziemię, pomiędzy ludźmi i ich pracą z jednej, a pszczołami i mrówkami z drugiej strony“ — mówi w końcu Celzjusz. (Sr. Kind. „Teologia a naturalizm w czasach chrześcijaństwa średniowiecznego“. Jena 1875 r.).

— Chrześcijaństwo średniowieczne, przeciwny wszelkim pracom i dociekaniom naukowemu przyrodniczo-histerycznym, chrześcijaństwem ówczesny, zapatrzony w człowieka i jego pozorną wyższość, traktując człowieka nie jako koronę wszelkich istnień, ale jako oś świata, jako cel, dla którego wszystko inne zostało stworzone, na tego rodzaju poglądy, jak Celzjusza, zezwolić nie chciał. Zwalczał je najsurowiej. Dusza zwierząt została skreślona.

Nie pomogły energiczne protesty uczonego, światłego człowieka, nuncjusza papieża Klemensa VII, Rorariususa, przebywającego na dworze króla węgierskiego, Ferdynanda, który to, Rorarius, przytaczał mnóstwo faktów, dowodzących rozumu i życia duchowego zwierząt i tak, jak Celzjusz, upierał się przy swoich twierdzeniach — nic te protesty nie pomogły.

Kościół duszy zwierzętom odmówił i tak energicznie zwalczał wszelkimi środkami poprzednie wierzenia i twierdzenia, że w końcu wygrał, i triumf jego znalazł pełnię wyrazu w pracach filozofa francuskiego, Kartezjusza (1596 — 1650 r.), odmawiającego zwierzętom nie tylko duszy, ale nawet kierowania się rozumem.

Dla Kartezjusza zwierzęta — to żywe maszyny, to automaty, działające pod wpływem zewnętrznych bodźców. Wprawdzie, przyznaje Kartezjusz, są fakty, gdy zwierzę postąpi lepiej i mądrzej od człowieka, ale toć i zegar ma w sobie maszyneryję, określającą ściślej i nieomylniej czas, niż człowiek, który sobie dopiero czas podług zegara sprawdza i normuje, a przecież człowiek ma duszę, a zegar tylko — maszyneryję.

Poglądy Kartezjusza, popierane gorąco przez Kościół, przesiąknęły w umysły ludzkie ówczesne i przesądziły sprawę!

Niemalą też pomoc Kościołowi w sprawie tej oddał tak wszechpotężny w średniowieczu Szatan. Jemu to zaczęto przypisywać przejawy duchowe, tak wyraźnie objawiające się nieraz u zwierząt, że negować je było niepodobieństwem i trzeba było je przypisać wpływowi jakiejś siły wyższej... Oczywiście, nie Boskiej, która jedynie tylko w człowieku może się przejawiać a zatem — djabła.

Wobec takiego postawienia kwestji, o dociekaniach naukowych co do duszy zwierzęcej, o naukowych badaniach psychiki zwierząt, porównywania jej z ludzką, słowem — o „psychologii porównawczej“ nie mogło wtedy być mowy. Wszelkie próby, robione w tym kierunku, były narażone albo na lekceważenie i szyderstwo, albo wprost teologicznie zabronione, jako szkodliwe dla wiary!

Coprawda, poglądy Kartezjusza obalał gorąco współczesny mu filozof, Leibnitz, krańcowo od Kartezjusza różny w swym systemie filozoficznym, nauczającym o szczeblach na drabinie organicznego rozwoju i o nieprzerwanym, ścisłym związku wszystkich istot żyjących, a zatem i ludzi ze zwierzętami. Lecz Leibnitz był przedmiotem wielu napaści, aczkolwiek dowodzenia jego popierali uczeni tej miary, jak Tomasz, prof. niemiecki Bajer, i później znacznie prof. Reklam („Duch i ciało“ 1859), który mówi:

„Określenie „instykt“ u zwierząt powinno być zupełnie usunięte ze słownika ludzkiego. Kto pewnych przejawów u zwierząt nie umie sobie wytłumaczyć inaczej, jak tem nic nie mówiącym słowem, instykt, kto nie rozumie ich głębiej, nie umie sobie wytłumaczyć i naukowo badać, ani określać nie jest zdolny — niech się wogóle wyrzeknie zabierania głosu w tej tak ważnej dziedzinie, a płytkości tych poglądów i swego nieuctwa niech nie pokrywa tak wygodnym dlań określeniem, jak instykt“!

W miarę upływu czasu coraz częstsze i silniejsze protesty powstają przeciwko poglądom Kartezjusza. Szeregi przeciwników powiększają się. Linneusz, Buffon, G. F. Mejer w znakomitem swym dziele, „Próby nowej nauki o duszy zwierząt“ (Halle 1750) i wielu innych, wypowiadają się przeciwko Kartezjuszowi. Nawet jezuita, Buzan, pisze słowa protestu.

„Zwolennicy Kartezjusza chcą świat przekonać, że zwierzę — to maszyna. Wyobraźmy sobie człowieka, który lubi swój zegar tak, jak ja swojego psa. Gdyby człowiek ten zaczął swój zegar głaskać i pieścić, myśląc, że ten z miłości do niego



pokazuje mu godziny, wzięlibyśmy go wszyscy za głupca lub obłąkanego. Gdyby dowodzenia Kartezjusza były słuszne, to wszyscy ludzie, pieścący swoje psy, byłiby takimi samymi głupcami.

„Tymczasem ja kocham mojego psa uczuciem, i on kocha mnie tak samo. Wita się radośnie, gdy wracam do domu, jest apatyczny i smutny, gdy go zostawiam samego, tuli się do mnie, gdy go pieścę, spełnia moje rozkazy lub zgóry boi się kary, gdy jest nieposłuszny—zatem, ma skalę uczuć ludzkich: radości, smutku, tęsknoty, strachu, miłości i nienawiści. Choćby zatem wszyscy filozofowie świata orzekli, że zwierzę to tylko maszyna, nie zgodzę się z nimi. I poglądy Kartezjusza będą zawsze budzić protest u każdego umiającego patrzeć głębiej, czuć i myśleć—człowieka.

— Najpoważniejszym, rzeczowym przeciwnikiem Kartezjusza staje się w 1764 r. francuz Leroi.

Z zawodu leśniczy, dzięki swemu fachowi ma możliwość lata całe śledzić bieg życia, rozwój i obyczaje zwierząt. W znakomitej francuskiej Encyklopedji zaczynają się pojawiać jego prace, narazie podpisywane pseudonimem: „fizyk norymbergski“. Pseudonim ten zabezpiecza go od prześladowań Sorbonny, z którą liczyć mu się trzeba, a która duszy u zwierząt uznać nie pozwala.

Tymczasem, wieloletnie obserwacje dają Leroi obfity materiał naukowy, z którym, narazie ostrożnie, później coraz śmieiej występuje. Materiał ten, niesłychanie ciekawy, podkreśla i wykazuje właściwości psychiczne zwierząt i ich stopniowy rozwój. Opowiada n. p., jak wilki zbierają się na walne narady, po których urządzają gremjalne polowania i napady, jak omawiają wspólne sposoby podstępów w zakresie swych działań wojennych, jak rozum tych zwierząt potęguje się w miarę nabytych doświadczeń... Jest olbrzymia różnica w rozumie starego, doświadczonego już wilka lub lisa a młodego. Że młode wilki lub lisy popełniają szereg fatalnych w skutkach dla nich omyłek, z powodu swego niewyrobienia i bojaźliwości, czego nie dopuszczają się nigdy stare sztuki... i. t. d.

Leroi odrzuca zupełnie pojęcie „instynktu“, a zastępuje je — rozumem. Przytem, co najciekawsze, dowodzi ściśle naukowo i niezbicie o dziedziczeniu nabytych w ciągu życia zdolności i właściwości i wykazuje, że to, co ludzie, nie rozumiejąc, z czem mają do czynienia, określają jako instynkt w zwie-

rzęciu, jest w rzeczywistości następstwem wielu nabytych przyzwyczajęń i cech, przechodzących z pokolenia w pokolenie, znaczący się, dziedziczących się i przejawiających w potomkach.

Podług Leroi, zwierzęta mają swoją mowę, którą doskonale się porozumiewają wzajemnie, nawołują, ostrzegają, wydają rozkazy, okazują gniew lub radość — mowę zupełnie obcą człowiekowi, ale niezbicie istniejącą.

W ślad za Leroi, znakomity przyrodnik Cuvier, przeprowadza obserwacje nad wziętym do niewoli orangutaniem i stwierdza „wielki rozum, umiejętność kombinowania mózgiem — mianowicie, przyswajanie pewnych pojęć i wyciąganie z nich wniosków.“

(c. d. n.) Janina Maszewska-Knappe.



#### POŚLANKA IRLANDZKA

Według wiadomości, podanej przez amerykańskie pismo kobiece „Equal Right“, w nowym parlamencie północno-irlandzkim zasiada jako poseł jedna tylko kobieta, pani Dehra Chichester. Była ona również członkiem poprzedniego parlamentu.

#### PIERWSZA DYPLMATKA W AMERYCE

Pierwszą kobietą, zajmującą wyższe stanowisko w dyplomacji amerykańskiej, jest miss Lucy Atcherson, mianowana niedawno członkiem poselstwa Stanów Zjednoczonych w Szwajcarii.

#### ODWAŻNA PODRÓŻNICZKA

Pani Delia J. Akeley, znana w Anglii podróżniczka, której ulubioną rozrywką jest polowanie na dzikie zwierzęta w Afryce, wyruszyła niedawno na wyprawę naukową do głębi Afryki — sama, bez żadnego towarzysza „białego“, jedynie z małą garstką murzynów. Krok ten wydał się władzom angielskim tak śmiałym i niebezpiecznym, że usiłowano narzucić pani Akeley towarzystwo któregoś ze znanych podróżników po Afryce. Odmówiła jednak, twierdząc, iż da sobie doskonale radę bez niczyjej opieki i nie ma zamiaru dzielić się z ni-

kim rezultatami swych odkryć. Celem wyprawy odważnej podróżniczki jest zdobycie nieznanych dotąd okazów afrykańskiej fauny i flory dla Muzeum Przyrodniczego w Brooklynie.

#### MEDYCYNĄ CZY MAŁŻEŃSTWEM?

Pismo kobiece angielskie, „The Woman's Leader“, donosi o ograniczeniach, króрым podlegają w Anglii lekarki zamężne na stanowiskach rządowych. W ostatnich dniach usunięto ze szpitali miejskich 34 lekarki zamężne. Pozostałym dano do wyboru: albo zamążpójście i natychmiastowa utrata posady lub też pozostanie na stanowisku za cenę rezygnacji z małżeństwa.

#### KSIĄŻKA DWÓCH KRÓLOWYCH

Na rynku księgarskim w Londynie ma się ukazać niebawem książka p. t. „Kraj, który ukochałam“ (The Country that I love). Autorką tego dzieła jest królowa rumuńska, Marja. Ilustracja do tej książki, której treść zaczerpnięta jest z życia kobiet rumuńskich, rysowała była królowa grecka, Elżbieta.

#### DONIOSŁE ODKRYCIE

Pisma zagraniczne donoszą o niezwykle interesującym odkryciu, dokonanym przez uczoną norweską, Dr. Krystynę Bonnevie. Opracowała ona mianowicie metodę, pozwalającą stwierdzić ojcostwo na zasadzie daktyloskopji. Według teorii Dr. Bonnevie, pewne właściwości, przekazywane drogą dziedziczości, pozwalają na ustalenie ojcostwa przy porównaniu odcisków palców dziecka z odciskami palców domniemanego ojca. O ile teoria ta okaże się dostatecznie uzasadnioną w praktyce, odkrycie to będzie miało znaczenie niezwykle doniosłe.

#### ŻYCIE NA ALASCIE

Amerykańskie pismo lekarskie kobiece, „The Medical Woman's Journal“, zamieszcza ciekawy artykuł Dr. Anny S. B. Kearsley, zajmujący od lat kilku stanowisko młodego chirurga przy misji sanitarnej na Alasce. Dr. Kearsley w czasie swej kilkuletniej pracy zapoznała się doskonale z warunkami życia plemion indyjskich na Alasce i opisuje je w sposób barwny i zajmujący. Artykuł ten podajemy w streszczeniu:

„Domy Indjan, zamieszkujących Alaskę, budowane są w sposób wysoce prymitywny. Wnętrze ich, chociażby był to dom najbogatszego mieszkańca wioski, składa się



zawsze z jednej tylko izby mieszkalnej, w której mieszczą się, poza najbliższą rodziną gospodarza, jeszcze i liczni dalsi krewni, znajomi i przyjaciele. Cechą charakterystyczną tubylców jest niezwykła gościnność; dom ich stoi zawsze otworem dla każdego, kto tylko pragnie znaleźć w nim schronienie.

Nieraz zdarzało mi się — pisze Dr. Kearsley — widzieć przeszło dwadzieścia rodzin tubylczych, zgromadzonych w jednej izbie pomiędzy rozwieszonymi u pułapu rybami suszonymi i skórą upolowanych zwierząt.

Wobec rozpowszechnionego zwyczaju plucia na podłogę i absolutnego braku jakiegokolwiek wentylacji, można sobie wyobrazić jaka atmosfera panuje w takiej izbie, i jak obficie panoszą się tam bakterje wszelkiego typu, nadewszystko zaś — laseczki gruźlicze. Gruźlica jest też chorobą bardzo rozpowszechnioną na Alasce. Walka z nią stanowi jedno z najpoważniejszych zadań rządu. Nie potrzebuję chyba dodawać, że wobec wyżej opisanych warunków higienicznych śmiertelność wśród ludności jest bardzo znaczna.

Nie należy sobie jednak wyobrażać, że tubylczy Indianie wiodą żywot w nędzy i ubóstwie. Przeciwnie, są oni naogół zamożni, żyją dostatnio, niektórzy nawet, według pojęć miejscowych, otoczeni są zbytkiem i przepychem. Pieniądzy im nie brak, obracają je jednak przeważnie na kupno strojów, świecideł itp. rzeczy. Kobiety ubierają się bardzo bogato, najzamożniejsze noszą na sobie prawdziwy magazyn klejnotów, ozdób, paciorków itd. Życie towarzyskie jest bardzo ożywione: wszyscy składają sobie wizyty i zbierają się bezustanku to w tej, to w innej chacie, spędzając dnie całe na długich pogawędkach.

Indianie są bardzo łakomi i przepadają za smacznym jedzeniem; kobiety ich jednak nie umieją gotować, i bardzo jest trudno nauczyć ich tej sztuki. Większość tubylczych smakolików przyrządzana bywa zatem... na surowo!

Inną cechą charakterystyczną Indian jest ich zamiłowanie do nójów wysokowych, tej nieszcześniejszej zdobyczy naszej cywilizacji, którą „biali ludzie“ przynoszą ze sobą w najbardziej odległe zakątki ziemi. Wódka jest tu w powszechnem użyciu, tak powszechnem niestety, że wypadki delirium tremens należą do bardzo częstych. Piją tu zarówno mężczyźni, jak i kobiety; te ostatnie, co prawda, przeważnie tylko podczas nieobecności męża. Ileż razy zdarzyło mi

się być wzywana do śmiertelnie chorej Indianki, której choroba polegała na tem, iż podczas gdy mąż jej wyruszył na połów ryb, ona tymczasem uraczyła się zbyt obficie pozostałym w domu alkoholem!

Obyczaje są łagodne i patriarchalne. Kobiety indyjskie używają zupełnej swobody. Indianin jest dobrym mężem i nie tyranizuje nigdy swojej żony, jak to ma nieraz miejsce wśród dzikich. Przeciwnie, obserwując zbliżone życie tubylców, doszłam do przekonania, że kobiety odgrywają w rodzinie rolę głowy domu. Zarobki rodziny składane są w ręce matki, i ona to, nie zaś ojciec, jest szafarką mienia rodzinnego.

Kobiet niezamężnych nie widuje się tu wcale. Skoro tylko dziewczynka dorasta, wydaje się ją zamąż; jeśli owdowieje, prawo nakazuje siostrzeńcowi jej ożenić się z nią, chociażby była w wieku najbardziej podeszłym. W razie śmierci jednego z braci, najmłodszy z pozostałych obowiązany jest poślubić bratową. Kobieta bowiem, według praw tutejszych, musi zawsze mieć przy swym boku mężczyznę, nie dlatego, aby była pod jego opieką, jak mówią Europejczycy, lecz po to, „aby przynosił jej jedzenie i zarobione przez siebie pieniądze.“

#### CZY SPORT JEST WROGIEM OGNISK DOMOWYCH?

Sport, ulubiona rozrywka młodzieży dzisiejszej, ma także wielu wrogów, którzy zarzucają mu, iż wpływa demoralizująco na tych, którzy mu się oddają, odciągając ich od nauki, zniechęcając do obowiązków rodzinnych i t. d. Wbrew starożytnemu przysłowiu o „zdrowej duszy w zdrowym ciele“ sport, twierdzą ci „sportofobi“, zabija intelektualizm, rozwija w najwyższym stopniu egoizm i materializm, najszkodliwszym zaś okazuje się jego działanie na terenie rodzinnym.

Jeśli wierzyć tym pesymistom, cały szereg młodych chłopców i dziewcząt (zwłaszcza tych ostatnich) powstrzymują się od wstępowań w związki małżeńskie właśnie z powodu swego zamiłowania do sportów. Małżeństwo bowiem i naturalne jego konsekwencje: macie-

rzyństwo pociąga za sobą z konieczności dla kobiety konieczność zaniechania, chociaż na czas pewien, ulubionych rozrywek i gier sportowych. Obowiązki rodzinne, stanowiące poważną przeszkodę w swobodnem życiu sportowców, bywają przez tych ostatnich zaniębywane; jednym słowem — sport jest, tak mówią jego nieprzyjaciele! wrogiem życia rodzinnego.

Chcąc dać możność wypowiedzenia się w tej kwestji zarówno przeciwnikom sportu, jak i jego zwolennikom, jedno z pism francuskich ogłosiło ankietę p. t. „Czy sport jest wrogiem ognisk domowych?“ Z pośród licznie nadpływających odpowiedzi najlepszą wydała się redakcji pisma odpowiedź jednej z literatek francuskich, pani Ivonne Schultz. Pisze ona, co następuje:

„Na pytanie: czy sport jest wrogiem ognisk domowych? — odpowiadam: tak i nie! Nie, bo siły i zdrowie, uzyskane przez młodzież naszą podczas ćwiczeń na wolnem powietrzu, stanowią niewątpliwie jeden z ważniejszych czynników dla poprawienia rasy i obdarzenia w przyszłości kraj nasz zdrowem, normalnem, silnem pokoleniem.

Jeśli chodzi o młodzież w wieku szkolnym, sport jest dla niej rozrywką nie tylko pożądaną, ale wprost konieczną z punktu widzenia higieny i profilaktyki. Rzecz się ma jednak całkiem inaczej, gdy młodzież ta dorosnie i zechce założyć własne rodzinie. Sport wymaga całkowitego oddania się mu i podporządkowania całego życia, wszystkich upodobań, zajęć i t. d. Jest to bóstwo zazdrosne, które żąda nieustannych ofiar od swych czcicieli. Mojem zdaniem, obowiązki rodzinne nie dadzą się żadną miarą pogodzić ze sportem. Uważam więc, że powinniśmy dzielić życie nasze na dwa okresy:

Okres pierwszy: od wczesnego dzieciństwa do chwili wstąpienia w związki małżeńskie (mam tu na myśli zarówno mężczyzn, jak i kobiety), hasłem tego okresu powinno być: wszystko dla zdrowia! Przez zdrowie poszczególnych jednostek, przez ich rozwój fizyczny zdążać winniśmy do ulepszenia rasy.

Okres drugi: po zawarciu związków małżeńskich, wymaga, przeciwnie, zupełnego podporządkowania się jednostki dla dobra rodziny. Hasłem tego okresu: wszystko dla dobra dziecka! Matka i ojciec powinni zapomnieć o sobie i żyć jedynie troską o dzieci, aby wychować je na przyszłych dzielnych obywateli kraju“.

Z. B.







Ks. Marjan Tokarzewski „Straż Przednia,” Warszawa. Nakładem Instytutu Wydawniczego. Skład główny: Księgarnia „M. Ostaszewska i S-ka.” 1925 r. Str. 229 i 2 nl. Cena 9 złp. (Z przedmową Fr. Puławskiego).

Książka barwna, zajmująca, jak powieść, a przeniknięta uczuciem ciepłym, jak słońce Podola, w którego promieniach wyrósł ten sługa Boży o duszy kresowego rycerza.

Wiara, patriotyzm, niezłomna hardość i niezdolność do kompromisów—to wszystko musiało niechybnie sprawić, że człowiek, urodzony w ziemi największego ucisku, w t. zw. „Prowincjach Zabrzanych,” musiał żyć w ustawicznej walce.

„Od 24-VI 1892 r. aż do przybycia do Polski—1920 w czerwcu stałe byłem prześladowany przez rząd moskiewski.”

Dziecko wiejskiego kresowego dworu, w 22-gim roku życia na kapłana wyświęcony, ks. Tokarzewski w ciągu 30 lat swego kapłaństwa zmienia 32 parafje, usuwany przez rosyjskie władze, oddawany pod sąd, więziony.

Wyganiają go nad Wołgę, na stepy Turkiestańskie. Ale Opatrzność czyni z niego am, w obcej stronie, opiekuna i obrońcę nieszczęsnej rzeszy tułaczy, którą wojna na zatracenie niosła.

Po wybuchu rewolucji wraca na ukochane Podole i pracuje z gorączkowym zapalem. Sieć szkół wiejskich, gimnazjum

polskie w Barze, ojczyźnie księdza Marka, to owoc jego działania.

Ale wojska rosyjskie zalewają powrotną falą biedny kraj. Piekło przechodów bolszewickich, petlurowców, denikińców i zwykłych band zbójceckich. Dwa razy skazany na śmierć, cudem uratowany, doczekał się mężny kapłan wojsk polskich 6 kwietnia 1920 r.

„Mimo tych przejść, żyję i zajmuję zaszczytne stanowisko kapelana Głowy Państwa w Polsce” — mówi autor.

„Dlatego, jak mi mówią, powinienem spisać moje przeżycia, które będą świadczyć, w jakich warunkach pracował na Kresach kapłan polski.”

„Nie będzie to „pamiętnik.”

„To tylko kartki, wyrwane ze wspomnień, które teraz mogę dać do druku.”

Wobec tego wyznania milknie krytyka, która wolałaby może ciągłość opowiadania zamiast rozbicia go na fragmenty.

Ale co za bogactwo tych obrazków! Ciche dworki kresowe i nadwożańskie stepy. Jarosław, Wologda, Kostroma, Taszkient i znów Bar.

Przygody i typy, jak z Trylogji, która nieraz się przypomina, zwłaszcza, gdy przepyszny staropolski humor opowiadającego przejawia się w narracji.

Taka np. rozmowa księdza z gubernatorem Kijowa, walka z Mnichem Heliódorem w Poczajowie i ten wspaniały List otwarty dzieci polskich z tamtego świata do psów jarosławskich.

(Epizod ten opisał poetycznie E. Popow w „Jaskółkach”).

Opowiadanie jest przedziwnie proste, a jednak obfituje w momenty dramatyczne.

Oto np. taka scena.

W więzieniu katorżnym w Jarosławlu ksiądz dociera do nieszczęsnych rodaków i budzi w tych ludziach na zatracenie, zda się nieodwołalne, skazanych, nadzieję, że jeszcze kiedyś Polsce służyć będą. Młody człowiek, skazany na całe życie za

zamach w Bezdanych, mówi mu wtedy o Polsce, którą budowano w podziemiach. W tym kryminale ksiądz słyszy po raz pierwszy nazwisko Piłsudskiego. Po latach niewielu spotykają się ci dwaj w wolnej Polsce, jeden jako kapelan, drugi jako adjutant Naczelnika Państwa! Deus mirabilis.

Nie cytuję więcej, ale odsyłam do książki, która znaleźć powinna wielu czytelników, a oby doczekała się rychło drugiego, rozszerzonego wydania!

F. K.

## STRZAŁKI

„Dziesiątówka.”

„Modna” msza św. w niedzielę.

W ciemnej zakrystji tłum. Na stoliku obok konfesjonału pali się świeca, krzywo w lichtarz osadzona, a drgające jej światło rzuca jaskrawe krążki, na ciemne sprzęty kościelne i twarze pobożnych.

Przy blasku świecy dwie panienki przytulone do siebie, z jednej książeczki czytają pacierze. Bardzo pobożne. Z początku nie odrywają oczu od książki, później jednak to jedna, to druga wychyla główkę ponad tłum. Manewr ten zaciekawia inne, a że stoją tuż obok, obserwują bez wielkiego roztargnienia myśli pobożnej.

Nareszcie nad bogobojnymi kartkami modlitewnika szepcze głos:

— Jest?

— Niema.

— Może nie przyjdzie?

— Ależ będzie z pewnością!

Znów spuszczone oczy zatopiły się w szeleszczących modlitwą kartkach.

Po chwili:

— Popatrz, może jest.

— Patrzyłam, niema.

— Idjota, nie znalazł nas!

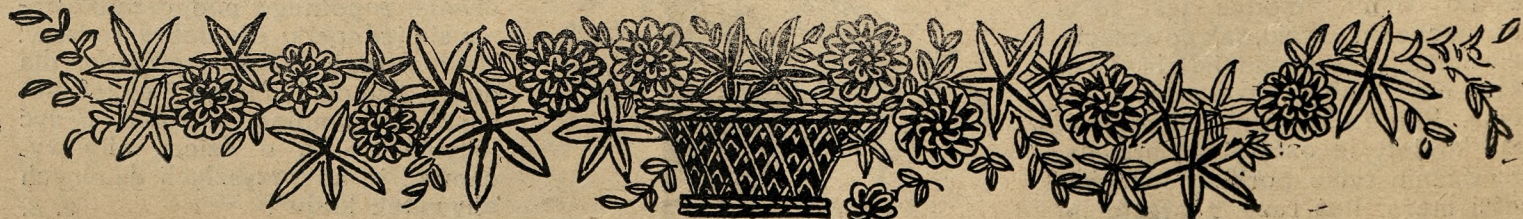
Msza św. kończy się. Ksiądz intonuje: *Ite missa est.*

— Wiesz, nie było go.

— No, już ja jemu powiem!

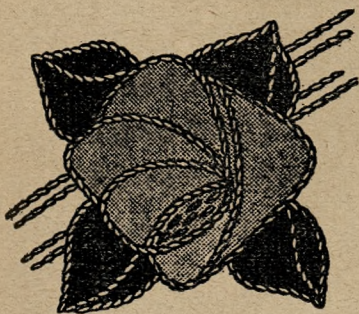
— To dobrze, ale teraz powiedz poco myśmy tu przychodziły?

Zofja Łosiowa.

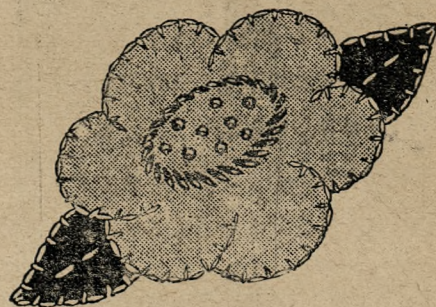
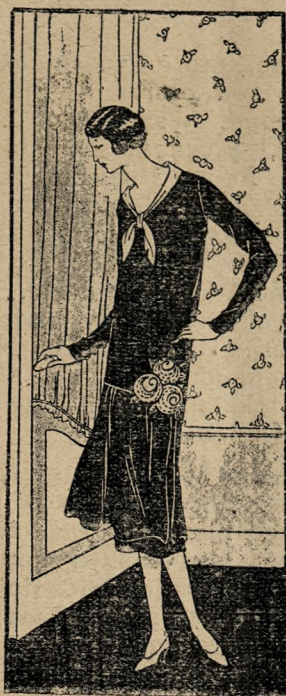




# SUKNIA, PRZYBRANA APLIKACJĄ



Rys. 1



Rys. 2

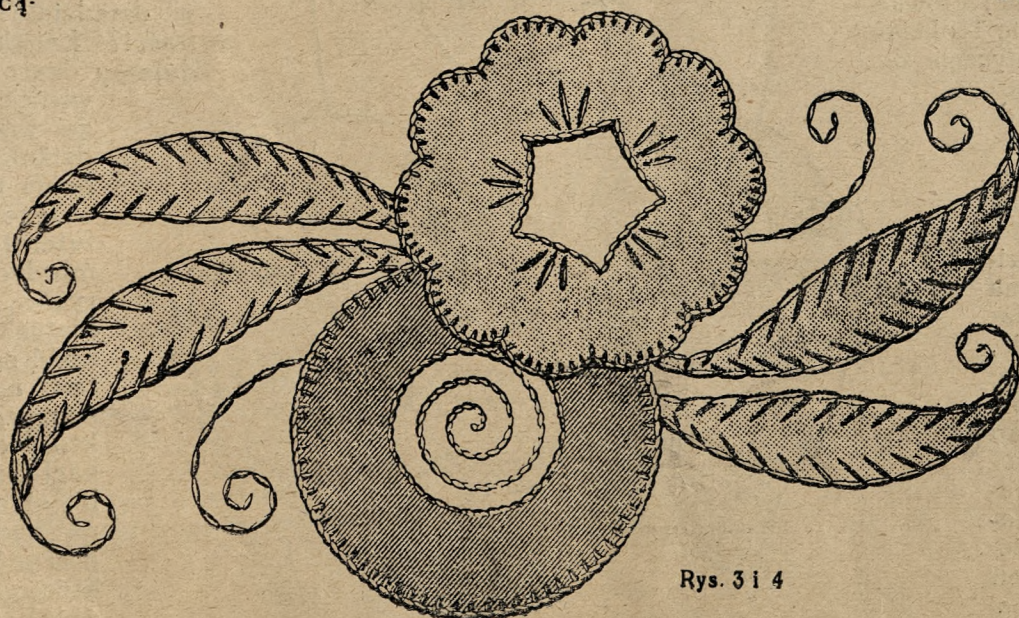
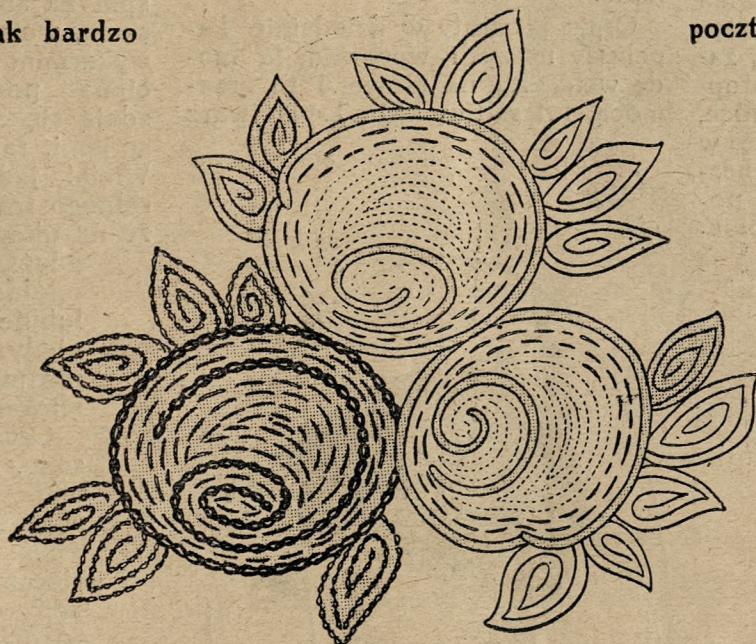
Najskromniejsza suknia i najbardziej strojna toaleta zrobione z gładkiego sukienka, z jedwabiu świecącego lub z tafty, nabiorą szyku i pewnego indywidualnego „cachet“, gdy je przybierzemy tak bardzo modną aplikacją.

Przybranie takie można zastosować, rozmaicie ozdabiając niem przód stannika, dół falbany lub bok sukni, jak to podany przez nas model wskazuje. Aplikacja może być zrobiona z sukna, aksamitu lub nawet świecącego jedwabiu, zależnie od materiału, z jakiego sukienka jest zrobiona. Wycięty motyw można przydziierać odpowiednim jedwabiem lub wełną

(jeżeli jest wycięty z sukna), drobnymi, gęstymi albo też dużymi ściągami, jak to rys. 2 i 4 wskazują, albo przyszyć luńcuszkiem czy też poprostu grubą nitką, ściągami pocztowym, jak na rys. 1 i 3.

Dobór kolorów zależy od tonu sukni, no i naturalnie od gustu właścicielki, ale ślicznie wyglądają zestawienia delikatnych pastelowych barw, np. różowej z perwenche i blado-zielonej albo blado-niebieskiej z kolorem cyclamen.

Jeśli ktoś lubi kolory żywe, to może przybrać np. brązową suknię trzema cieniami ognisto pomarańczowymi, dodając listki koloru oliwkowego.



Rys. 3 i 4





## KAPELUSZ...

my modę, która za pierwowzór stawiała nam olbrzymie przestrzenie, zasłane wszelkiego rodzaju zielenią, przyznać musimy, że dzisiejsze hełmy i dzwony, zastosowane ze zrozumieniem celu, do jakiego służyć winien kapelusz, mogą łatwiej wymknąć się złośliwości ludzkiej. Wprawdzie, jeden z zimowych numerów feminy, podaje zręczne i dowcipne karykatury tych „najmodniejszych“, ale cóż umknie lekkiej i pomysłowej wyobraźni francuskiej?

Rysunki, o których mowa, przekształcają tak zręcznie a nieopstrzeżenie linię wytyczną, że podkreślenie podobieństwa kapeluszy naszych do najdziwaczniejszych, a nic z kapeluszami nie mających wspólnego, przedmiotów, rzuca się w oczy z nieapreczonym komizmem.

Orgja prostoty w dziedzinie kapeluszy naszych wprowadziła modę wciągania na głowę, i to przymocą, futerałów, które kryją twarz



Cóż jest w stanie dać większe pole złośliwości ludzkiej nad wybryki ekscentrycznej i dziwacznej nieraz mody.

W epoce, kiedy „per fas et nefas“ idzie się ku zdobyciu modnego rynsztunku, śmieszność nie jedynych przyjętych form i zestawień nie razi! Nie razi dlatego, że przyzwyczajenie jest siłą nad siły, zacierą, tuszuje i do pewnego stopnia bielmem zasnuwa źrenice, a jednak, aby wytrenować się w unikaniu adoptowania mody bezkrytycznie, winna każda z nas posiadać w swem archiwum podobizny z dalszej, bliższej przeszłości, wpatrzeć się w nie, wczuć i z kampanji tej wyjść bogatej w umiejętność unikania nadal zbyt sumiennego przystosowywania się do pierwowzorów z żurnali, pism, pokazów mód, gawęd ludzkich, a mniej będzie tych, pobudzających do śmiechu karykaturek, które patrzą na nas z albumów i fotografii niedawnej epoki!

Zobaczyć na podobiznie zaledwie przedwojennej główkę kobiecą, zeszczoconą i obciążoną jakimś fantastycznie do góry dnem wywróconym talerzykiem, podpętym silnie skręconymi piórami strusimi, a wystarczy, aby nabrać pobłażliwości sądu dla mody dzisiejszej. Spaczyła ona wprawdzie błogosławione swe założenie, któremu na imię miała być: „prostota“, spaczyła jednak tylko tam, gdzie brak dobrego smaku i umiaru, nawet kształt doskonały wykoszławiłby, zdołał. W każdym razie, jeżeli porówna-

tak zazdrośnie, tak głęboko i daleko, że faktycznie oko ludzkie odbija się o nieprzebytą ścianę, i pochłonięty przez tę niezmierną głębię kształt główki kobiecej ginie, zacierą się, przepada...

W epoce, kiedy kołnierz futrzany spotyka się w pół drogi z kapeluszem, wciągniętym do granicy warg wykarminowanych, słyszałam dowcipne powiedzenie, że kobiety zdają się dzisiaj być fabrykowane serjami, tak bardzo są identyczne! Wielki jednak dorobek karykaturalnego traktowania mody jest ten, że na ulicy niema brzydkich twarzy, gdyż nie widać nic, prócz ogólnej linii! Która z nas lubuje się w tajemniczości, nigdy z takim powodzeniem nie mogła oblec się w szatę sfinksa, jak dzisiaj.

Czyż zarzuci mi kto przesadę, jeżeli powiem, że kobieta, którą poznajemy w kapeluszu, z którą porozmawiamy nawet miłą a długą nieraz chwilę na jakimś posiedzeniu, wizycie, w wagonie, pozostaje pomimo to zagadką w dziedzinie swej zewnętrzności? Łatwiej dzisiaj odgadujemy duszę, niż twarz niewieścią, ale zato cóż za rozkoszna niespodzianka śledzić narodziny kwiatu!

Jeżeli złowieszczy futerał krył świeżość młodych i wdzięcznych rysów, bujność jedwabistych splotów, jasność spojrzenia i czar, ten najśłodszy czar ślicznego uśmiechu, który czai się w kąciakach ust i źrenic głębi, niech błogosławioną będzie tajemnicza przepaść kapelusza, z którego wyjrzał na świat, jak objawienie





cudu, kiedy spodziewaliśmy się ujrzeć jeżeli już nie brzydotę, to chociaż nicość, nie wierząc, aby z takim trudem starano się ukryć wdzięk i urodę!

Kraży nawet bon mot na temat dwoistości kobiety, które pomawia mężczyzn o bigamię, zarzucając im posiadanie dwóch żon: tę, co jest sercem dzwonu... i tę, która w rzadkich momentach pojawia się z odchyłką przyłbicą.

A teraz wszystkim tym, którzy i które są wrogami tajemniczości, zwiastujemy szczęśliwą nowinę! Skłaniamy się ku odchyleniom, ku odchyleniom... rond!

Za nimi idzie ich rozłożystość i wdzięczne w linji, a nie przesadne uskrzydlenie.

Szerokie, zlekką cieniujące ronda nosi się coraz częściej, te mniejsze odgina się fantazyjnie z przodu i jednego lub dwóch boków, niektóre fasony mają rondka, dyskretnie na opuszczone, a tył wywinęty. Wi-



działam też śliczny model paryski, wykonany z tak modnej dzisiaj ażurowej plecionki, przez którego rondko padały na twarz swawolne błyski słońca i rozświetlały ją barwnymi iskierkami.

Między wszelkimi kreacjami i fantazjami chwili palmę pierwszeństwa zdobył sobie gładki, najczęściej niczem nawet nie otoczony, fason miękki, filcowy lub pilśniowy, który w zestawieniu z suknią lekką czy kostjumem stanowi dzisiaj szczyt mody.

Kolory są różne! Jeszcze zawsze wszystkie cienie rudego bronzu i orzecha, tony lila i mauve, perłowe, no i białe, które jednak w filcu nie są tak efektowne, a przytem bardzo niepraktyczne.

Moda jest ładna swą kapryśnością, wszak trudno nazwać inaczej

zestawienie zwiewnych tkanin letnich z ciężkim filcem, a przytem praktyczna i wygodna, szczególnie w podróży.

Kapelusz pilśniowy, którego główkę owiniemy zręcznie związanym woalem, będzie nad wyraz elegancki tak w wagonie, jak w samochodzie, statku czy okręcie.

Wyzwolony z tych pajęczych pęt, nabierze charakteru strojniejszego i dla osób, które nie uważają za konieczne dopełnienie przyjemności wyjazdu, wożenie ze sobą balastu pudeł i kufrów, będzie w dalszej czy bliższej podróży wystarczającym kompletnie.

Z radością też witamy tę estetyczną i elegancką modę, która oby przetrwała dłużej i pozwoliła nam nacieszyć się sobą dowoli tem więcej, że jednoczy ona w sobie wszystkie trzy przykazania najpierszych magazynów francuskich: „Ça fait dame“, „Ça fait jeune“, „Ça fait sport“.



## PARĘ SŁÓW O KILIMACH

Wśród rozlicznych gałęzi przemysłu, powstających u nas podczas wojny wskutek odcięcia społeczeństwa od przemysłu zagranicznego, a służących setkom rodzin za źródło utrzymania się w ciężkich czasach wojennych, silnym rozrostem odznacza się przemysł kilimkarski.

Przemysł to niezupełnie nowy. Wschodnia Małopolska znała go jako przemysł ludowy; na gruncie ludowej twórczości powstał szereg wytwórni, zastosowujących kilimy we wzorach i kolorze do potrzeb inteligencji miejskiej; w ostatnich zaś czasach przed wojną dotarły

do Krakowa, ośrodka polskiej twórczości artystycznej, zainteresowując szereg artystów, którzy kilim wciągnęli w zakres twórczej swej pracy. Już przed wojną starano się wyszukać i utrzymać właściwy tej technice styl we wzorach i kolorystyce, wzbogacając społeczeństwo w no-



we formy zdobnicze. Wojna opóźniła do pewnego stopnia prace artystów, natomiast rozpowszechniła i spopularyzowała sam kilim, jako zastępstwo dywanu na obszarze całej Polski i we wszystkich warstwach społecznych.

Rozrostowi kilimkarstwa sprzyjało silne zapotrzebowanie ogółu, odbudowującego zniszczone przez wojnę mieszkania, i brak zagranicznego towaru, który do r. 1914 zalewał całą Polskę. Sprzyjała też temu inflacja marki polskiej, gdyż publiczność, lokując gwałtownie swe pieniądze w czym się dało, chętnie nabywała przedmioty trwałe o wartości zarówno praktycznej, jak i artystycznej.

Równocześnie kilimkarstwo stało się źródłem zarobku dla mnóstwa kobiet ze wszystkich sfer, zarobku o tyle dogodnego, że nie wymaga on koniecznie pracy poza domem.

W łatwości wykonywania tego przemysłu i w szybkości jego rozwoju tkwiło jednak poważne niebezpieczeństwo dla niego rozwijał się on zbyt gorączkowo, aby mogły powstać odrzuć rzeczy, nie mówię doskonałe, ale dobre. Wśród powodzi kilimów, utkanych w ciągu ostatnich lat dziesięciu, połowa co najmniej jest bardzo licha pod względem technicznym, wartość zaś artystyczną posiada może jeden kilim na sto.

Braki pod względem technicznym znikają dziś szybko; publiczność zbyt ceni swoje złote, by kupować rzeczy źle wykonane (nauczyła się wybierać pod tym względem), wśród wytwórców zaś budzi się ambicja stworzenia solidnego przemysłu.

Gorzej przedstawia się strona artystyczna. Dzięki niemieckiemu i austriackiemu przemysłowi, który zasypywał polskich odbiorców dywanami, pełnymi psów, zajęcy i jeleni, naturalistycznie traktowanymi, który w maszynowo robionych dywanach kombinował wszystkie możliwe style i wzory, od starych perskich przez barok i rokoko aż do dekoracji secesyjnej — publiczność zatraciła poczucie prawdziwej techniki tkackiej i nie orjentowała się, czem właściwie ma być kilim.

Wytwórcy, a raczej wytwórczynie, znały się na tem nie wiele więcej i nie troszczyły się o wiadomości w tym kierunku, gdyż każdy, choćby najgorszy, kilim znajdował odbiorcę.

W chaosie wzorów powstały niejako cztery typy kilimów:

1) Przedewszystkiem zwrócono się do ludowej sztuki.

Znaleziono w niej wełniaki o motywach pasowych, nieraz przesłizne w kolorze. Zużyto je na obicia mebli, co było szczęśliwym pomysłem, na narzutki i t. p., ale popsuło fatalnie w kolorze. Łowickie pasiaki, które stały się modą w oryginale, mimo jaskrawości barw, szlachetne; zrobiono wełną farbowaną anilinowemi czystemi barwnikami, wyszukiwano, jakby naumyślnie, jaknajordynarniejsze zielone i pomarańczowe tony. Mało zatem wykorzystano piękne zestawienie kolorystyczne pasiaków z Litwy lub z Kieleckiego.

2) Wzorzyste kilimy wzorowano na t. zw. ruskich kilimach, nie zwróciwszy uwagi, że lud ruski niewłaściwie zastosował do kilimów motywy, wyszywane krzyżykową techniką na swych strojach. Ponieważ niemożliwym jest tkanie takich krzyżyków na kilimie, zamieniono je na kostkę, tembardziej, że wzór krzyżykowy rysuje się na kratce. Stąd cała masa wytwórców i odbiorców powzięła jaknajgłębsze przekonanie, że wszystko, co jest na kratce narysowane, nadaje się tem samym na kilim (na nieszczęście bowiem i rysunek techniczny do kilimu robi się też na kratkowanym papierze).

Widziałam, jak wyszukiwano wzory na firanki siatkowe, na dywany strzyżone, na torebki, wyszywane perełkami, nawet wzory na lino leum, by zużyć je jako „doskonałe” wzory na kilimy. Jeśli się doda do tego kolory i kolorki, jakimi te wzory wykonywano, podziękować można Bogu, że kilimy te były licho zrobione i że wnet się podra.

3) Równie błędne, jak kilimy kostkowe, a wręcz temu typowi przeciwne, były kilimy z kwiatkami naturalistycznymi, ptakami, krajo-

brazami i t. p. Stworzyli ten typ ludzie, nie znający form geometrycznych w zdobnictwie, lubiący swobodę, naturę i kwiaty, ale nie liczący się z techniką warsztatu poziomego. Kilimy te robią wrażenie, jakoby ktoś wziął maki, malwy, bratki lub słoneczniki, rozłożył na papierze, odrysował kontur i powiększył otrzymaną formę, gdyż naturalnej wielkości kwiat jest za mały i subtelny, by go można wykonać wełną na poziomym warsztacie. Powstały kilimy, upstrzone barwnymi płatami, w których zgubił się wdźwięk wiotkiego kwiatu, otrzymującego twarde, chropowate a suchy kontur.

Uważano to za polski typ kilimu; by go zrobić jeszcze, bardziej polskim, powiększono drobniutkie, jak maczek, subtelne formy z jedwabnych pasów słuckich i przenoszono je na kilim. Istnieją też tkane wełną papierowe wycinanki chłopskie, ani odrobinę w formie nie zmienione.

Ażeby stworzyć kilim nowoczesny, tkano aplikacje Rychter-Janowskiej, orły polskie (kilim z orłem wisi w poznańskim ratuszu, w sali posiedzeń), pejzaże zakopiańskie (Gewont, świerki) i wiele innych rzeczy.

4) Wreszcie, aby skończyć z wylizaniem, był typ czwarty, może najszcześniejszy typ kilimów, wzorowanych na starych wyrobach, pozostałych w spuściźnie po dworach polskich z Ukrainy, Podola i Wołynia. Tu były w każdym razie wzory, traktowane po tkacku, i kolory szlachetne, kopiowano bowiem z dość dużym pietyzmem. W tym kierunku jednak poszło bardzo mało pracowni; często przytem zachodziło nieporozumienie co do użycia warsztatu. Przenoszono wzory z warsztatu pionowego na poziomy, utrudniając sobie pracę a zatracając wiele ze swobody i wdźwięku rysunku.

O tych różnicach technicznych, wynikających z istoty warsztatu i materiału, o wynikach, jakie można osiągnąć, nie pożyczając nic z innych technik, napiszę jeszcze słów kilka w części następnej.

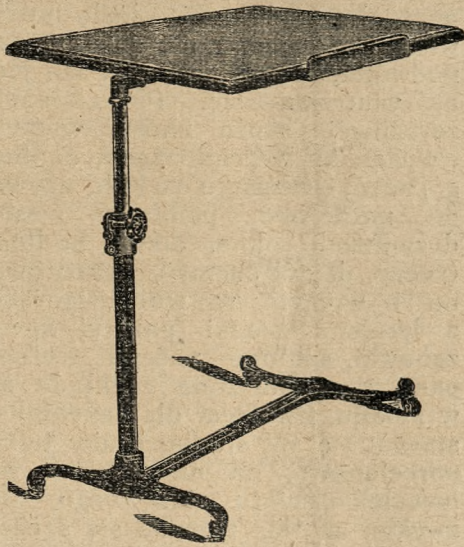
Marja Zawadzka.





## O PIELEGNOWANIU CHORYCH

Nie doceniany dotąd u nas zawód pielęgniarstwa, coraz bardziej się rozwija, a powstające szkoły zawodowe doprowadzą wkrótce i u nas do tego, że tak jak za granicą z chwilą skonstatowania przez lekarza choroby — wejdzie do domu pielęgniarka lub siostra, która na całym świecie nie jest zbyt, ale konieczną potrzebą; dotąd, niestety, brak do tej pracy przygotowanych odpowiednio osób sprawia, że te, które posiadają potrzebne wiadomości, cenią się tak wysoko, że wzięcie pielęgniarki równa się zbyt, na który stać niewielu. Cierpią na tem wszyscy, przede wszystkim zaś chorzy. Pielęgowani dorywczo, po amatorsku, pozbawieni niezbędnych starań i pomocy, denerwują się i męczą, a choroba umiejętnie traktowana, prędko nieraz przechodząca, rozwija się, z lekkiej przybiera często groźną formę, a co najsmutniejsze, udzielając się otoczeniu, przechodzi w epidemję. Cóż dopiero mówić o nieszczęśliwych domownikach, z których każdy z olbrzymim poświęceniem, z nadzwyczajną dobrą wolą, ale bez umiejętności po kolei „obrzędza chorego!“ Na drogę pielęgniarstwa, iść powinna osoba mająca do tego zawodu wrodzone upodobanie, przytem inteligentna, łagodna, cierpliwa i sumienna. Materjału takiego nie brakuje u nas, nie jest on tylko dotąd nalezycie wyzyskany. Miejmy nadzieję, że stosunki te, tak wiele obecnie pozostawiające do życzenia wkrótce poprawią się, a kobiety, znalazłszy prawie nowe pole do pracy uczciwej i użytecznej poprzestając na możliwie skromnym wynagrodzeniu, przekonają ogół o jej niezbędności w każdej chorobie dotknięciem środowisku. Zanim jednak to nastąpi, sądzę, że nie od rzeczy będzie dać mniej doświadczonym kilka elementarnych wskazówek i podzielić się z nimi ciężkim doświadczeniem. Zastrzegam się, że nie będę tu mówić o leczeniu, to bowiem jedynie i niepodzielnie należy do lekarza, ale o opiece i usługach, jakich choroba wymaga. Przede wszystkim chory potrzebuje: spokoju, drobiazgowej czystości, światła, powietrza dużo, często odświeżanego o ile niema możliwości bez zaziębienia przewietrzać pokoje, trzeba chociaż w sąsiednim trzymać okno lub lufcik otwarte temperatury średniej, lepiej chłodniej, niż za gorącej, drobiazgowej staranności w wykonywaniu rozporządzeń lekarza, w



Rys 1

podawaniu przepisanych przez niego środków. Najgenialniejszy lekarz nie pomoże, jeżeli opieka nie potrafi zrozumieć i wykonać jego poleceń. Przyjdzie i pójdzie; prawdziwa kuracja zależy dopiero od pielęgnujących chorego. Jeżeli choroba jest zaraźliwa, chory i dogładająca go osoba, powinni przerwać wszelką styczność z resztą domowników, wszelkie nakrycia i naczynia, bieliznę i pościel chory powinien mieć tylko dla siebie, umywanie i pranie oddzielnie, powinno się odbywać w wodzie z domieszką lysolu. Pielęgnująca osoba w białym płóciennym fartuchu zdejmować go musi, wychodząc od chorego, w którego pokoju żadnych pokarmów przyjmować nie powinna. Po każdym dotknięciu chorego na krótko uciętymi paznokciami z krótko uciętymi paznokciami wodą mydłem i szczotką starannie wmyte być muszą.



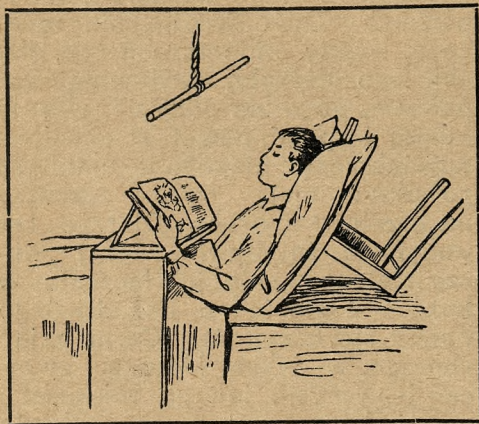
Rys. 2

Przekonałam się, że bardzo silnie oddziaływa na chorego nastrój, w jakim przebywa, to też trzeba starać się utrzymać go w jaknajwesołym, usposabiającym do optymizmu nawet w najcięższych wypadkach. Dużo światła nie rażącego, kwiaty umieszczone tak, aby oko jego cieszyły, nie drażniąc zapachem, pogodne obejście, wesoły humor i spokój nawet w chwilach największego niepokoju umiejący go ukryć mają wpływ ogromny na przebieg choroby. Dlatego też utrzymują, że prawie więcej znaczy pielęgnowanie, jak leczenie, w każdym razie jedno bez drugiego obejść się nie może. Czem zająć chorego, w jakim kierunku zwracać jego myśli, jak go rozweselić opowiadaniem, nie męcząc zbynią gadatliwością, jak odgadnąć każdą jego potrzebę i życzenie, wskazać kobiecie tylko wrodzona intuicja.

Znajdzie tu ona tak szerokie użytkowanie zalet swojego serca i umysłu, tak wdzięczne pole do działania i tak wiele zadowolenia wewnętrznego, że zawód pielęgniarstwa nie tylko dla materialnych, ale i dla moralnych korzyści obieranym być przez nią powinien. Konieczne przy chorym czynności załatwiać trzeba z najmniejszym dla niego wysiłkiem, pamiętając, że każde zmęczenie zużywa jego siły, a więc tak mycie, jak prześcieranie łóżka, zmienianie bielizny, podnoszenie, pojenie i karmienie wymagają siły, zręczności i koniecznie przytomności umysłu. Zanim zabierzemy się do której z tych czynności, trzeba przygotować co tylko może być potrzebne przy myciu nie oglądając się za mydłem lub ręcznikiem przy karmieniu za widelcem lub łyżką, bo to drażni nawet zdrowego. Nieocenionym pomocnikiem do tych czynności jest stolik uniwersalny (rys 1), który oddaje tak różnorodne usługi. Do pojenia ciężko choruch trzeba mieć garnuszek z długim dziobkiem w formie imbryczka (rys. nr. 2), którym sący się po kropli w usta napój choremu. Łóżko chorego należy ustawiać tak, aby dostęp do niego z trzech stron był swobodny. W celu przesłania dosuwa się drugie łóżko lub tej samej wysokości leżankę, na którą za pomocą prześcieradła przeciąga się chorego. Tak samo robi się z powrotem, a ułożywszy na świeżem pościeliu, delikatnie wyciąga się z pod niego prześcieradło. Dla podniesienia wyżej na poduszki podsuwa się pod chorego obie ręce (rys. nr. 3), on chwytając



za szyję, i wtedy posuwa go się ostrożnie w górę. Tak samo postępuje się, chcąc unosić do jedzenia lub dla zmienienia pozycji, co często ze względu na płuca i odleżenia robić należy. Aby utrzymać chorego w pozycji leżąco-siedzącej trzeba, uniósłszy go, podsunąć mu

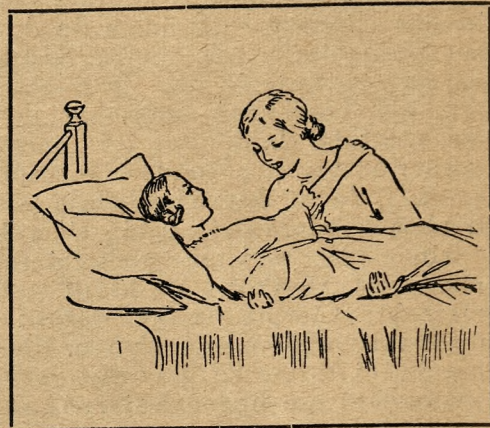


Rys. 3

pod plecy poduszkę, którą podpira się odwróconem krzesłem (rys. nr. 4) Nasunięty na chorego stoliczek, na podstawie oparta książka daje mu możliwość poczytania wygodnie i odpoczynku od leżenia. Jeśli możliwe, dobrze jest mieć dla chorego podwójną pościel, aby zawsze jedna wietrzyła się. Po chorobie zaraźliwej, skoro chory, wmyty i wykąpany, wróci do życia ogólnego, pokój i wszystko, co było używane musi być poddane ścisłej dezynfekcji, okna, drzwi i podłogi, rzeczy, dające się myć, wyszorowane i wmyte w wodzie gorącej z lysolem książki, gazety, karty, zabawki, spalone pościel wytrzepaną i wywietrzoną rozkłada się w pokoju, w którym dla dezynfekcji stawia się na środku gruby talerz porcelanowy, na nim kładzie się kawałek kwiatu siarkowego lub zwykłej siarki, zamyka się szczelnie okna i drzwi, zatyka wszelkie szparki i zapalwszy siarkę opuszcza

się pokój, zamykając drzwi za sobą. Po 20 minutach wszelkie zarazki zginą.

W mieście wielkiem ułatwieniem w drobiazgowym czyszczeniu jest odkurzacz, który, wprowadzony w ruch za pomocą elektryczności, wciąga kurz i bakterje. I. S.



Rys. 4

## MSZYCE NA RÓŻACH

Jedną z dotkliwszych plag różnych roślin, a szczególnie róż, są drobne, przeważnie zielone, żyjątka, zwane mszycami, które obsiadają wierzchołki młodych pędów i pączki, i zapuszczając ssawki w tkanekę, żarłocznie wysysają z niej soki. Wskutek tego przyrost zanika, łodyżka się skrzywia, listki się zwijają i, zamiast kwitnąć róże chorują.

Mszyce są to owady, które rozmnażają się z nadzwyczajną szybkością nawet dzieworodnie, więc, gdy tylko spostrzeżemy pierwsze okazy, należy niezwłocznie wytoczyć im walkę.

Zwalczanie mszyc odbywa się najłatwiej przy pomocy roztworu mydlanego, wywaru tytoniowego albo wywaru wiórków gorzkni (*Quassia amara*), które nabyć można w każdym składzie materiałów aptecznych.

W większych uprawach stosujemy zraszanie roślin porażonych przy użyciu specjalnych opryskiwaczy. Skuteczniejsze jednak, choć dostępne tylko w małych ogrodach, jest zanurzanie opadniętych gałązek w opisanych roztworach. Wtedy mamy pewność, że wszystkie owady zostały zwilżone zabójczą dla nich cieczą, podczas gdy przy roszaniu płyn nie dochodzi do listków skręconych lub zasłoniętych innymi listkami.

Roztwór mydła może być przygotowany równie dobrze z mydła szarego, jak ze zwykłego mydła do prania.

Trzeba tylko uważać, żeby nie był nazbyt mocny, bo popali listki. Zupełnie wystarcza, gdy woda w dotknięciu robi wrażenie śliskiej.

Odwar tytoniowy i odwar wiórków gorzkni można również przygotować w domu. Więc machorkę,

albo wiórki należy nalać na noc zimną wodą, a rano przystąpić do gotowania, i gotować dopóty, dopóki wywar dobrze nie ściemnieje, więc około godziny. Gdyby woda się tymczasem zanadto wygotowała, to można dolać świeżej.

W ten sposób otrzymujemy wywar stężony, który należy rozcieńczyć 10-krotną ilością wody. Wszystkie środki opisane można doskonale łączyć ze sobą, najczęściej zaś do machorki lub odwaru gorzkni bywa dodawane mydło w ilości około 1 kg. na 100 litrów wody.

Ponieważ trudno jest wytępić nie tylko owady gotowe, ale tem trudniej jest zniszczyć jajeczka, więc po paru dniach pojawiają się nowe pokolenia. Dlatego zraszanie albo kąpanie pędów roślin, nawiedzonych przez mszyce, należy przez pewien przeciąg czasu powtarzać, ilekroć zauważymy choć jednego pasorzyta. Stan. Schönfeld





# CHOROBY DROBIU

(ciąg dalszy)

Szczepienie ochronne stosuje się w celu uczynienia osobników zdrowych niewrażliwymi na zakażenie. Robiono w tym kierunku od czasów Toussaint'a i Pasteur'a najrozmaitsze próby, szczepiąc kolejno zarazkami o różnym stopniu zjadliwości, aby stopniowo ptactwo uodpornić, ale próby te dawały przedtem przeważnie ujemne rezultaty.

Obecnie dla stłumienia tej epidemii używa się szczepionek przeciw cholerze drobiu jako środka zapobiegawczego, a surowicy jako środka tak leczniczego, jak i uodporniającego na pewien okres czasu.

Zaznaczyć muszę, że te same szczepionki, bardzo skuteczne w pewnych miejscowościach, zawiodą czasem w innych. Jak twierdzą uczeni bakterjologowie, wytwarzają się wśród zarazków cholery różne rasy, zależne od warunków pochodzenia ich i rozwoju. Dlatego przy wytwarzaniu czystych kultur kładą nacisk na to, aby zarazki pochodziły nie z jednej zakażonej okolicy, ale z różnych stron kraju.

Szczepionkę przeciwko cholerze drobiu otrzymuje się przez ogrzewanie zarazków od 48°—53°C, bo w tej temperaturze maksymalnej tracą one swoją zjadliwość i mogą być używane jako środek zapobiegawczy przed zarażeniem w czasie szerzącej się epidemii.

Szczepienia ochronne najlepiej stosować dwa razy do roku: wczesną wiosną i na początku jesieni, bo wtedy cholera drobiu szerzy się z większą gwałtownością. Szczepić można każdej sztuce szczepionkę dwa razy: najpierw słabszą, a po dwóch tygodniach silniejszą, zastrzykując ją podskórną szprycą. Prawa na szyi, pod skrzydło lub w piersi. Przy wybuchu zarazy w stadzie stosować można z powodzeniem równoczesne szczepienie surowicą i szczepionką słabszą, a po dwóch tygodniach szczepionką mocniejszą.

Surowicę przeciwko cholerze drobiu wyrabia się na dużych zwierzętach gospodarskich, np. koniach czy wołach, które nadzwyczaj uodpornia się przez zastrzykiwanie im co dwa tygodnie w ciągu paru miesięcy coraz to większych dawek bakterji cholery drobiu. Pobiera się potem od nich stale z żyły szyjowej krew, z której wyodrębnia się przezroczysta, żółtawa surowica, zawierająca w sobie białe ciała „leukocyty,” ma-

jące własność nie tylko pochłaniania zarazków, ale także i wytwarzania „przeciwciał” czyli „antitoksyn,” zwalczających trujące jady w organizmie.

Zastrzyknięte choremu ptactwu, działają one leczniczo na organizm i uodporniają na jakiś czas.

Praktyka wykazała, że potomstwo sztuk uodpornianych staje się również mniej wrażliwym na infekcję cholery.

Surowica ta wyrabiana jest w Oddziale Serologicznym Instytutu Naukowego w Puławach. Dostać ją można w Warszawie w Syndykacie Hodowlanym, ul. Kopernika 30, wraz z dokładnym przepisem i objaśnieniem sposobu zastosowania. Surowica, zastrzyknięta w wielu gospodarstwach w czasie wybuchu epidemii z uwzględnieniem dezynfekcji i przeniesienia drobiu w inne miejsce, okazała się bardzo skuteczną. Szczepionki i surowice przeciwko cholerze drobiu dostać można także w laboratorium dr. Serkowskiego, Świętokrzyska 16.

W czasie epidemii i po jej przejściu należy stosować szeroką dezynfekcję, obejmującą nie tylko kurnik i naczynia.

Kurnik należy dokładnie wybielić wapnem, dodając do niego kreoliny, szorować grzędę i korytka wodą z ługiem, odkażać je 5%-wym roztworem wapna. Sztuki chore odłączać natychmiast od zdrowych, odchody zaraz uprzątać, posypując te miejsca wapnem, popiołem drzewnym lub polewając roztworem wapna, które przy hodowli drobiu powinno mieć jaknajszersze zastosowanie, jako środek dezynfekcyjny: łatwy, tani i nie tylko nieszkodliwy, ale nawet pożyteczny w razie spożycia.

Roztworem wapna zlewać można obficie ziemię na okólnikach, gdzie drób spaceruje; przenikając w głąb

ziemi, zabija znajdując się tam mogące zarazki.

Porządny kurnik ułatwia dokładne przeprowadzenie dezynfekcji. Jeżeli drób stałego miejsca nie posiada, a gnieździ się na strychach i poddaszach ciemnych, do których dostęp jest trudny, tam i walka z zarazą wręcz niemożliwa. Chcąc zwalczać epidemję cholery drobiu, należy nie tylko u siebie zaprowadzić wszelkie urządzenia higieniczne, ale przede wszystkim rozpropagować uświadczenie w tym kierunku, bo nie pomogą żadne zarządzenia sanitarne, jeśli jednostki ciemne nie zechcą się do nich zastosować. Na wsi zazwyczaj lud wiejski spożywa drób padły na cholere lub też zarażony i dorżnięty; pióra z wnętrzości wyrzucają na śmietniki, w których drób spacerujący grzebie i rozdziobuje resztki, a psy, rozwłócząc po wsi, szerzą infekcję.

Bywają także zabobony, praktykowane w ten sposób, że jedna sąsiadka drugiej padłe sztuki podrzuca w przekonaniu, że choroba u niej zniknie, wybuchając gdzie indziej.

Kobiety wiejskie i przekupnie sprzedają często w mieście i na targach drób zarażony, a jego odpadki dostają się do wody i do śmieci, które, wywożone na pola, znów szerzą zarazę.

Mięso drobiu zarażonego cholerą poznać można po wyglądzie bardzo ciemnym, sino-fioletowym, i wprawdzie, ugotowane czy upieczone, nie szkodzi doraźnie ludziom, ale i nie przynosi żadnej korzyści odżywczej, bo jest przesycone nawkrośm jadowitemi toksynami. U osobników wrażliwszych wywołuje nawet ciężką niestrawność, bóle głowy i wymioty.

Wiadomości te przydadzą się nie tylko mieszkańcom wsi, ale także i miast, gdyż widuje się od czasu do czasu na wystawie w oknach sklepów spożywczych drób padły czy też dorżnięty z powodu cholery.

Dużo takiego drobiu, zwłaszcza gęsi, dostarczyła nam bolszewicka Rosja i widzieć je można było w roku zeszłym w Warszawie, o czem ukazywały się artykuły w prasie, między innymi artykuł w końcu października ubiegłego roku, napisany do „Gazety Rolniczej” przez profesora Szymanowskiego.

Nie zwalczymy skutecznie zarazy, jeżeli konsumenci zechcą w dalszym ciągu podobny drób nabywać.

W. B.





## PRZEWOŻENIE KONFITUR

Słoje z konfiturami z cienkiego szkła, a bardzo ciężkie, trudne są do przewożenia. Upakowane wraz z ubraniem lub bielizną, są wprawdzie lepiej zabezpieczone od rozbicia, niż gdy się je przewozi z naczyń i domowymi statkami, jednak w razie katastrofy rozbicia ubranie się niszczy, a bielizna, szczególnie po wiśniach, miesiącami całymi doprać się nie daje. Doskonalemi do przewożenia słoje są kosze takie, jakich się do przewożenia piwa używa. Taki kosz, niezbyt duży, może pomieścić od 20 do 30 słoje trzyfuntowych, zależnie od ilości otworów. Słoje można wstawiać bez żadnego opakowania, najwyżej owinąć je papierem gazetowym, nie są w taki sposób narażone na żadne uderzenia. Kosze takie nie są kosztowne, każda koszykarnia, o ile nie ma gotowych, wykona je szybko i niedrogo. Mają jednak one tę wadę, że mogą służyć tylko przy przewożeniu na krótkich przestrzeniach, na przykład: z letnisk, z majątków i willi podmiejskich, gdyż kosze te, nie mające przykrycia, nie nadają się do przewożenia koleją. Do dalszego transportu należy się zdecydować zrobić u stolarza specjalną skrzynię z desek, podzieloną przegródkami na tyle części, ile słoików wstawić doń mamy zamiar. Najlepiej robić skrzynki nieduże, na dwanaście słoików, na przykład, (trzy rzędy po cztery słoiki), gdyż skrzynia drewniana, i słoiki są bardzo ciężkie, a zbyt ciężkie pakunki, mimo ostrzegawczych napisów, zawsze są narażone na niebezpieczeństwo rzucania ich przez służbę kolejową; od pęknięcia przy silnym wstrząśnieniu żadne opakowanie nie pomoże. Zawsze najlepiej jest używać słoików jednakowego kształtu i rozmiaru, co przy przewożeniu szczególnie jest bardzo wygodnym: skrzynię obstalowuje się według miary jednego słoika, otwory czyli przedziałki mogą być kwadratowe, rogi między słoikiem a ściankami szczelnie się zapełnia drewnianą watą, aby słoik się zupełnie nie poruszał.

Przy zawiązywaniu słoików, przeznaczonych do przewożenia, należy obwiązać je dobrym pergaminem lub też pęcherzem, rozmoczonym uprzednio; w obu razach należy dać warstwę starego, czystego, miękkiego płótna. Przy użyciu pęcherza—pod spód, przy użyciu pergaminu—na wierzch. Szpagatu używać cienkiego, prawdziwego lnianego lub konopnego, a nie pa-

pierowego sznurka, który rozmaka, pęka, i konfitury się rozlewają. Takim szpagatem owija się kilka razy szyjkę słoika, kręcąc ten ostatni coraz to w inną stronę, aby możliwie szczelnie go zawiązać. Po zawiązaniu należy na wierzch nakleić kartkę białego papieru z napisem. Napis powinien zawierać nazwę owocu, rodzaj konserwy (konfitury, marmelada, galareta i t. p.) i datę smażenia; to ostatnie poto, aby konfitury, które pozostały z lat poprzednich, wprawdzie zostały użyte. Kartka powinna być na zawiązaniu, a nie na boku słoika, gdyż najlepiej zawiązany słoik może przeciec, a przy obmywaniu go zmyje się napis. Napis na wierzchu ma jeszcze tę zaletę, że przy przechowywaniu w skrzyniach po otworzeniu takiej skrzyni nie trzeba wyjmować każdego słoika dla obejrzenia, co się w nim znajduje. Skrzynie takie są, oczywiście, dosyć drogie dzisiaj, kiedy rzemieślnik ceni każdy ruch ręki na wagę złota; robi się je jednak na lat kilka albo kilkanaście. Po latach paru, jeśli obliczymy coroczne straty, jakie ponosimy przy zwykłych przewozach, opłacą się nam już. Mogą przytem znaleźć doskonałe zastosowanie, jako miejsce przechowywania konfitur przez zimę. Kilka takich skrzyń, ustawionych jedna na drugą, doskonale zastępuje szafę do przechowywania konserwów. Skrzynia z opróżnionymi słoikami idzie na sam spód, dolną się stawi na wierzch i tak dalej, aż się wiosną wszystkie zużyje; słoiki nie giną i nie zajmują nigdzie miejsca niepotrzebnie. Wiosną się je myje, osusza, wstawia na stare miejsca i wraz ze skrzyniami zabiera znowu w całości na wieś. *Pani Elżbieta.*

pieczeń barania lub potrawka z białym sosem prędko się przedają.

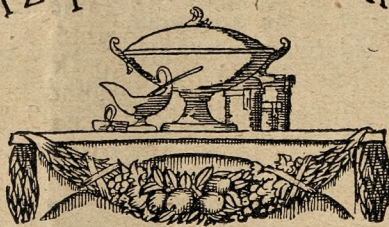
### SZASZŁYK Tatarski.

Mięso z kotletówki baraniej lub z miękkiej młodej pieczeni zlekką obić w całości (naturalnie kości należy wykrajać i użyć na jaką zabielańską zupę) i pokrajać na nieduże, czterocalowe mniej więcej zraziki, grubości palca. Cynaderki baranie pokrajać na cienkie płatki i tyleż, ile mamy tych zrazików, ukrajać cieniuchnych płatków dobrej wędzonej lub świeżej słoniny (ta ostatnia u tatarów się nie używa, ale wiele smaku potrawie dodaje; komu więc więcej chodzi o smak, niż o zachowanie ściśle lokalnego kolorytu, brać ją powinien). Ile jest osób u stołu, tyle zrobić cienkich patyczków z drzewa, czysto ostrugać, na każdy nanizać po kilka zrazików, przekładając je plasterkami cynaderek i słoninki; na dużej patelni zrumienić łyżkę masła, na bardzo gorące kłaść patyczki z baraniną, soląc ją i pieprząc w ostatniej chwili przed smażeniem. Zrumienić ze wszystkich stron na bardzo silnym ogniu, uważając, aby wewnątrz mięso pozostało soczyste. Mieć oddzielnie ugotowany ryż na sypko, ułożyć wzdłuż półmiska, na to ułożyć rożenki z szaszłykiem; naokoło, jeśli są, rząd w plasterki pokrajanych surowych pomidorów; na końcach półmiska, dla amatorów, duże kupki szczypioru zielonego od cebuli, pokrajane w trzycalowe kawałki. Na pozostały na patelni tłuszcz wlać parę łyżek wody, zagotować, połączyć ten ryż i podawać wszystko bardzo gorące. Do szaszłyku należy podawać talerze wprawdzie dobrze wygrzane, jak do kołdunów.

### PILAW TURECKI.

Rozpuścić w rondlu dużą łyżkę masła, włożyć parę drobno pokrajanych cebul, wsypać półtorej szklanki ryżu, smażyć, mieszając, aż ryż zółknąć zacznie. Zacząć podlewać rosółem lub wodą, lejąc po filiżance naraz aby ryż się dusił potrochu. Oddzielnie nagotować półtora funta bardzo tłustej baraniny, gdy zmięknie, pokrajać na kawałki rozmiaru włoskiego orzecha, zmieszać z ryżem, dodać rosół z baraniny, soli, pieprzu w ziarnach i dusić, aż ryż zupełnie zmięknie (powinien być zupełnie sypki). Na wydaniu posypać jakim ostrym serem; kto lubi, można podać oddzielnie sos pomidorowy lub koperkowy. Podawać w zakrytym naczyniu i jeść bardzo gorące na wygrzanych talerzach.

## Przepisy gospodarskie



### BARANINA.

Latem po dworach i na letniskach trudno zwykle o dobrą wołowinę, nawet w sąsiedztwie większych miast, gdzie mięso nabyć można zawsze, wołowina, przewieziona godzin kilka na upale, traci zupełnie smak, nabiera jakiejś stęch izny, baraninę natomiast można mieć prawie wszędzie, należy tylko możliwie urozmaicać przyrządzone z niej potrawy, gdyż ciągle



## PIECZEŃ BARANIA, NAŚLADUJĄCA SARNINĘ.

Pieczeń baranią obrać starannie z tłuszczu i wierzchniej skórki (należy brać pieczeń z dużego, starszego barana; młode, tegoroczne jagnię w taki sposób przyrządzić się nie da). zalać maślanką, serwatką lub zsiadłem mlekiem, trzymać tak na lodzie od trzech dni do tygodnia, poczem wymyć, wymoczyć godzin sześć w czystej wodzie, sparzyć wrzącym octem z korzeniami, naszpikować wędzoną słoninką. Na brytfannie rozpuścić łyżkę masła, ułożyć na to baraninę, posmarować lekko masłem, wstawić pod blachę, zrumienić i piec dalej, podlewając octem z marynaty z cebulą, pieprzem i listkiem. Gdy zupełnie miękka, polać jeszcze paru łyżkami śmietany. Na wydaniu zaprawić sos, jak zwykle, łyżką mąki, rozbitej w pół szklance wody i wsypać doń szczyptę tłuczonego pieprzu. Do takiej pieczeni najodpowiedniejszą jarzyną są młode buraczki, duszone ze śmietaną. Oddzielnie się podaje zieloną sałatę, mizerję z ogórków lub kompot. Tak przyrządzona baranina zupełnie zastępuje sarninę, w niczem się od niej nie różniąc. Wyborna jest na zimno z sosem „Cumberland“.

## BARANINA PO TATARSKU

(przepis z nad Wołgi).

Rozpuścić na patelni głębokiej, brytfannie lub nawet w płaskim, dużym rondlu łyżkę tłuszczu baraniego, na to ułożyć w kilka rzędów liście białej kapusty, posypać krajaną w płatki lub paski włoszczyzną: marchwią, pietruszką, brukwią, selerami, porami, dodać połowę tej ilości krajanych w paski kartofli i tyleż zielonej lub główkowej cebuli. Położyć na to spory kawał, około trzech funtów, miękkiej, młodej baraniny od pieczeni mostka lub łopatki, osolić, przykryć znów cebulą, kartoflami, włoszczyzną, nałożyć kapuścianymi liśćmi, znowu posolić, polać tłuszczem, przykryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu w piecu lub chociaż na blasze dwie godziny, często potraszając rondlem, aby się nie przypaliło, nie mniej dwóch godzin. Kto nie ma dużo włoszczyzny, niech użyje tylko kapustę, cebulę i kartofle. Tatarzy nie używają do tego pieprzu, jednak listek i kilka ziarn pieprzu podnosi znacznie smak tej wybornej potrawy. Na półmisku układa się w środku bardzo gorącą baraninę, naokoło zmieszane jarzyny i wszystko polewa sosem, który się przy du-

zeniu uformował. Jak każdą inną baraninę, należy tę podawać bardzo gorącą.

## „NOISETTES D'AGNEAU“.

W dosłownem tłumaczeniu: „orzeczy z jagnięcia“.

Wyjąć mięso z całej kotletówki, zdjąć wierzchnią skórę, zbiczleka w całości, pokrajać na kawałki równe, dwucalowej grubości. Ile takich zrazików, tyle zrobić zgrabnych, cienkich grzanek z bułki i zrumienić je na maśle. Kostki ugotować z włoszczyzną w krótkim sosie. łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić tym smakiem, włożyć w to kilkanaście odgotowanych oddzielnie młodych pieczarek lub małych borowiczek wraz z wodą, w której się gotowały, wlać karmelu tyle, aby sos był dobrze brunatny, wcisnąć sok z pół cytryny, zagotować raz i trzymać w ciepłe. Sos ten powinien być bardzo gęsty. Na patelni zrumienić mocno łyżkę masła, ułożyć na nie osolone i opieprzone zraziki. Na silnym ogniu zrumienić je, jak befsztyki, powinny być rumiane, prawie czarne zwierzchu, a soczyste wewnątrz. Położyć każdy na grzance, nawierzch pieczarkę lub borowik, zalać każdy dużą łyżką gęstego sosu, reszta powinna być podana w sosjerce. Do tych noisettes najodpowiedniejszą jarzyną jest fasolka zielona w całych strączkach, polana bułeczka z masłem lub czystem roztopionem masłem.

## KOTLETY BARANIE BIŁE, SOS „SOUBISE“.

Wyřabać kotletówkę baranią w taki sposób, aby nie było przy niej kości grzbietowej, pokrajać kotleciki według kostek, wybić nieco, aby nabrały zgrabnego kształtu, osolić, popieprzyć, osypać mąką i usmażyć na rumiano na maśle lub szmalcu, nie przesuszając ich

nadto. Pięć bardzo dużych cebul (około pół kilo) dusić na wolnym ogniu pod pokrywą, aż zmiękną, zwracając uwagę, aby się ani trochę nie przyrumieniły; przetrzeć przez sito, zaprawić łyżką mąki, rozprowadzić słodkiem mlekiem lub nawet słodką śmietanką tak, aby po zagotowaniu był bardzo gęsty, osolić, dodać kawałek świeżego masła, wymieszać, wyłożyć na okrągły półmisek, obłożyć naokoło kotletami i skropić rumianem masłem, w którym się smażyły. Do tego, jako jarzyny: młode kartofelki z wody, młoda rzepka lub galarepka, ugotowane w wodzie z solą i przetrzesione z łyżką masła, biała fasola gotowana lub zielona czy szparagowa fasola, polana bułeczka, zrumienioną na maśle. Z sosem „Soubise“ można też podać baranie kotlety siekane, przyrządzone w sposób następujący: baranią łopatkę usiekać lub przepuścić przez maszynkę wraz z dwiema bułeczkami, wymoczonemi w wodzie lub mleku, z cebulą, przesmażoną w maśle; dodać jedno jajko, łyżeczkę majeranku utartego, soli, pieprzu, wyrobić, aż od ręki odstanie. Robić zgrabne nieduże kotleciki, smażyć na maśle lub szmalcu i podawać je, okładając niemi gęsty sos cebulowy „Soubise“.

Pani Elżbieta.

## DOBRE RADY

Zanieczyszczone osadem kamiennym kotły i samowary czyści się za pomocą kwasu solnego, który rozpuszcza się w pięciu częściach wody, i płynem tem nalewa naczynia do wysokości, do jakiej osad dochodzi. Pamiętać należy, że kwas solny jest trucizną i mocno pali, trzeba więc być bardzo ostrożnym w obchodzeniu się z nim.

\* \* \*

Dla zabezpieczenia przedmiotów ze stali, długo nie używanych, od rdzy, dobrze jest wytrzeć takowe sproszkowanym niegaszonym wapieniem albo umaczać je w wodzie wapiennej i wytrzeć potem do sucha.

## Korespondencje działu praktycznego

P. Mrj. K. w Kętach.

Żądane podręczniki otrzyma Pani w firmie „Rozmanit“ — Ossolińskich 8 w Warszawie, ale tylko wydane w niemieckim, lub francuskim języku.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102-77.

Zawiadamia swoje pacjentki, że od dn. 8 sierpnia do 2-go września przyjmować nie będzie z powodu wyjazdu.



P. A. T. z Kaszczorka.

Musiałby być wielki nieporządek w domu, żeby mole zjadły dywan, rozłożony na podłodze. Jeśli jest tak duży, że trzepać często go nie można, to należy codziennie szczyścić miotłką, a tem samem usunie się wszystkie zarodki moli. Terpentyną można skropić od spodu, ale to wytwarza na razie nie miły zapach w pokoju, a potem prędko wietrzeje.

Fasolę żółtą można albo ususzyć, jak to było opisane w artykułach p. Elżbiety, albo, jeśli ma smakować, jak świeża, zrobić konserwy za pomocą aparatu Vecka, który jest dziś bardzo rozpowszechniony.

Meble można odświeżyć w następujący sposób: bierze się równe części spirytusu, potażu i olejku terpentynowego, dodaje się trochę czystego wosku i tą mieszaniną delikatnie smaruje się drzewo — najlepiej piórkiem.

Potem wyciera się meble niezbyt mocno kawałkiem bawełnianej tkaniny.

Skórę, opaloną na słońcu, można smarować kremem ogórkowym albo kremem „Aok“, ale opalenie z czasem samo zejdzie zupełnie.

Odpowiedzi na resztę pytań wysłałiśmy pocztą.

P. Zofii K...iej.

Kamelja wymaga czarnoziemu z ziemią wrzosową i piaskiem; do ziemi trzeba dodać szczyptę niegaszonego wapna, a na dno—mchu lata na wiosnę, po okwitnieniu. W temperaturze pokojowej, wyższej, jak 12° R. pączki opadają; trzeba często podlewać, liście skrapiać i obcierać z kurzu gąbką.

W połowie września kamelje muszą być wniesione do pokoju, a wyniesione dopiero w czerwcu. Kamelje nie powinny stać na oknie południowym.

\* \* \*

Dr. Julja Świtalska wyjeżdża 8 sierpnia do Paryża dla zbadania najnowszych metod z zakresu kosmetyki higienicznej. Do dnia 2 go września odpowiedzi na zapytania udzielane nie będą.

## Opis sukien i robót do Nr. 33

602. Fartuszek z czarnej alpagi dla dziewczynki od lat 8 do 12.

603. Sukienka z wełny w drobną kratkę dla dziewczynki od lat 6 do 8

604. Sukienka z wełny w kratę i gładkiego sukna dla dziewczynki od lat 10 do 14 Pasek zamkowy.

605. Kapeluszek dla dziewczynki z granatowego filcu, przybrany czterema rzędami drewnianych paciorków.

606. Kapeluszek dla młodej panienki, szty z wąskiej brązowej wstążeczki, opasany aksamitką.

607. Kapeluszek dla młodej panienki z filcu białego. Z przodu koka-da, wymarszczona z wstążki ciemno-szafirowej, przepięta w środku klamerką.

608. Kapeluszek filcowy dla dziewczynki, opasany barwną deseniową materją.

609. Żakiecik z granatowego welwetu dla dziewczynki od lat 8 do 12.

610. Pałtocik dla dziewczynki od lat 8 do 12 z miękkiej wełny, przerabiany w kolorowe paski.

611. Żakiecik dla młodej dziewczynki z granatowego sukienka, okładany jasnopopielatem

612. Palto dla chłopca od lat 8 do 12 z angielskiego materiału koloru szarego.

613. Koszulka, majtki i staniczek dla młodej panienki. Komplet, zrobiony z nanuku, przybrany ręczną mereżką

614. Koszulka nocna dla dziewczynki, przybrana szerokim haftem.

615. Kombinacja dla dziewczynki z nanuku, ręcznie dziergana.

616. 617. Dzienna i nocna koszulka, wykończona walansjenką i ręcznym haftem.

618. Szkolna sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z granatowej wełny, wykończona suknem fox-trott lub piaskowem.

619. Szkolna sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z brązowej wełny, przybrana guziczkami i wąskim zamkowym paseczkiem.

620. Fartuszek dla dziewczynki od lat 6 do 9 z czarnej satyny, zapinany na szelki.

621. Fartuszek dla dziewczynki od lat 8 do 12 z alpagi czarnej, wykończony falbanką.

622. Pałtocik dla młodej dziewczynki z granatowego welwetu, przybrany futrem.

623. Pałtocik z grubej angielskiej wełny dla dziewczynki od lat 8 do 12,

624. Płaszcz z pelerynką dla młodej dziewczynki z popielatego lub piaskowego sukienka, kołnierz w formie szala, zakończony foką.

625. Sweater dla młodej panienki z popielatej wełny z kołnierzem i mankietami z czesanej wełny zielonej.

626. Szalik biały włóczkowy, haftowany szafirowym i zielonym.

627. Fartuszek dla małego dziecka, ręcznie dziergany i haftowany.

628. Fartuszek dla dziewczynki z ponsowej satyny, objęty granatową pliseczką.

629. Jumper dla dziewczynki z piaskowego trykotu, przybrany kolorową kratą.

630. Ciepły kaftanik dla dziewczynki z trykotu koloru ponsowego, objęty granatową taśmą i haftowany granatowym.

631. Wzór na kilim, obliczany do kratki.

632. 633. 634. Narożniki chusteczek do nosa. Haft angielski i richelieu.

635. 636. Narożniki chusteczek. Haft angielski na ażurowej kratce.

637. 638. 639. Narożniki chusteczek. Haft richelieu.

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

STAŁEJ. Włosy usunie Pani momentalnie, stosując Epil-Max. Sposób użycia znajduje się przy każdym flakonie.

NIEZDECYDOWANEJ. Jako jedną z lepszych i zupełnie nieszkodliwych farb do włosów śmiało polecić możemy Pani ORIZALINE, która daje naturalny kolor włosom.

JULJI M. Wodę zmiękczać proszkiem LA MOLLETTE i myć się tylko OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI, które doskonale oczyszczają i odłuszczejają skórę, zapobiegając tworzeniu się pryszczu, wyrzutów i wągrów. Najlepiej myć się na noc w letniej wodzie. Krem ABARID, stosowany stale, rzeczywicie odżywia tkankę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

M-me Er cedès.

Wymienione tu środki nabywać można w Warszawie Perfection, Szpitalna 10 i Perfumerje W. Paszkowskiego; w Krakowie u K. Miklaszewskiego, plac Dominikański 1, we Lwowie u Mikolascha, Kopernika 1, w Poznaniu u M. Zaremby, Fredry 2; w Łodzi u L. Spiess i Syn, Piotrkowska 107.

\* \* \*

PŁOWIENIU WŁOSÓW zapobiec można, wystrzegając się słońca, szkodliwych płynów, sody i myjąc Szampoonem Miraculum Doktora Lustra.

## TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.